

EX LIBRIS
CZYTELNIK
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

Jan Zachariewicz

NA KRESACH.

ЧИТАЛЬНЯ
ВЪ СКЕРНЕВИЦАХЪ
CZYTELNIA
W SKIERNIEWICACH

WYBÓR PISM

JANA ZACHARYASIEWICZA.

NA KRESACH.

TOM I.

Wydanie nowe.

WARSZAWA.
NAKŁAD TYGODNIKA ILUSTROWANEGO.
1887.

317973

NA KRESACH.

POWIEŚĆ Z NASZYCH CZASÓW

W TRZECH TOMACH.

NAPISAŁ

JAN ZACHARYASIEWICZ.

TOM PIĘRWSZY.

RESURSA
w Stiarniewicach

Wydanie nowe. ..... 18 ..

WARSZAWA.
NAKŁAD TYGODNIKA ILUSTROWANEGO.
—
1887.



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, дня 24 Января 1887 года.



474311

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krak.-Przedm. 66.

WSTĘP.

Osnowa powieści Jana Zacharyasiewicza: „Na kresach," rozpoczynającéj się obecnie w dodatku do „Tygodnika ilustrowanego," wkłada na redakcyą tego czasopisma obowiązek poruszenia kilku myśli, które same się narzucają przy ponownem czytaniu dzieła zasłużonego pisarza.

Dedykacya powieści „Na kresach" Karolowi i Joannie Szajnochom, nosi datę d. 1-go stycznia r. 1860-go. Zaczął się tedy rok dwudziesty ósmy od chwili jéj ukończenia. Zacharyasiewicz, kiedy ją pisał, był jeszcze prawie młodzianem. Po kilku pomniejszych próbach literackich, po napisaniu większéj powieści: „Uczony" tudzież innych, zwracających już uwagę treścią i dążnością społeczną, spostrzegł Zacharyasiewicz, że powieść polska potrzebuje nowych dróg i szérszych widnokręgów. Czuł autor w duszy, czuł w piersiach burzę, która szérszego i głębszego oddechu wymagała. Do tych dróg nowych miał pochop od piérwszéj młodości, a gorąca miłość ziemi rodzinnéj, wpatrywanie się w jéj dzieje i koleje lat ostatnich, przebycie gorzkiéj szkoły życia w więzieniach austryackich, czyniły go coraz bardziéj usposobionym do kroczenia po nowych szlakach. Wygórowane w nieszczęściach uczucie nadało nerwom jego wrażliwość

ogromną na każdy przewiew, który mógł społeczeństwo przyprawić o chorobę nieuleczoną. Czuł boleść w duszy wiejącą od przyszłych smutnych wypadków, kiedy nikt jeszcze tych wypadków nie przewidywał. Ta właśnie czułość na gotujące się klęski zawiodła Zacharyasiewicza na nowe tory twórczości, a piérwszym owocem na tych drogach była powieść: „Na kresach,“ — utwór istotnie proroczy w odgadywaniu tego, co się stać miało nad Wartą i Notecią dopiéro po upływie ćwierci wieku.

Dzieło: „Na kresach,“ pomimo toku powieściowego, żywszego nawet niż w innych utworach Zacharyasiewicza, rozpiéra swojém założeniem ramy powieści, obejmuje rozległe przestwory, wystawia obraz ponuréj grozy, któréj w r. 1860-ym jeszcze nie dostrzegano, a która dopiéro teraz w całym ogromie huczy nad najbardziéj zachodnią cząstką Słowiańszczyzny polskiéj, sięgającéj niegdyś po za Odrę i północne brzegi Rugii. Dziwna zaiste była intuicya młodego autora. Podjął w powieści temat, który podówczas prawie nie istniał w rzeczywistości: nakréślił obrazy, których jeszcze nie widywano w Poznańszczyźnie i Prusiech zachodnich, — a nakréślił je tak wiernie, że gdyby nie data dzieła, mniemaćby można, że je wczoraj napisano.

Groźny system wypiérania z ziemi pradziadowskiéj—system ściśnięty w jednem słówku: „ausrotten,“ podany ku powszechnéj nauce i uwielbieniu Niemców przez najnowszego ich filozofa Hartmanna,—już żyje w powieści „Na kresach,“ wcielony w osobach działających; rozlega się na naradach z ust uczonego Niemca Tamimischela... „*Slavus*—powiada filolog pru-

ski—to tyle co *sclavus*; a więc Słowianie muszą być naszymi niewolnikami!“ Roztacza się tam cała sieć pomysłów do łowienia przyszłych ofiar, najmisterniéj wiązana; celem zaś całéj roboty jest wyparcie żywiołu polskiego z ziemi ojczystéj i zakupienie jéj pod *kolonizacyą* niemiecką! Dopomaga téj szatańskiéj robocie nasza tradycyjna niezaradność i obojętność, tak samo jak to i dzisiaj widzimy. Są wprawdzie pobłyski zwycięztwa, gdy żywiół polski pochłania i przerabia na własne soki pojedyncze posterunki niemieckie; ale małe to gwiazdki nadziei dla upadających na duchu — a wśród końcowéj strasznéj tragedyi odzywają się ledwo jak dalekie pienie anioła pocieszyciela.

Zadziwiająca intuicya Zacharyasiewicza w odgadywaniu najbliższéj przyszłości wygląda téż z kolei życia samego bohatéra powieści. Na pozór kończy on w sposób oklepany: po walkach w wielkich celach przedsięwziętych, zostaje księdzem. Ale właśnie w tém zakończeniu tkwi myśl głęboka. Autor ujrzał w widzeniu przyszłe pole bitwy: przeczuł, że piérwszą walną rozprawę z wynaradawiającym „kulturkampfem“ stoczy duchowieństwo polskie. Kto wié, czy bohatér powieści „Na kresach“ nie walczył w tych szeregach, których sztandar miał na sobie obok znaków religijnych i godła narodowe: „*In hoc signo... pugnabimur*— na brzegach Warty i Noteci.“ Zacharyasiewicz nietylko przepowiedział walkę i jéj charakter, ale nawet odcienie tego charakteru. Przepowiedział, a tém samém zawczasu powiedział: „Baczność!“ Jest to największa zasługa pisarza.

W prostéj przypowieści o zégarmistrzu z epilogu autor wskazał nawet sposób działania. Zégarmistrz

Polak, wysuszony w więzieniach pruskich, nauczył się od więzionego razem z nim Niemca sztuki wyrabiania zégarów lepszych niż dotychczasowe drewniane kukułki. Więc powróciwszy do swoich, powiada: że wszystko własne czcić i przechowywać należy, ale też nie lekceważyć tego, co się dobrego znajdzie u obcych. Wróg jest pożytecznym nauczycielem dla tych, którzy się uczyć umieją.

Do szeregu takich prac obywatelskich Zacharyasiewicza, jak „Na kresach," należą jeszcze: „Święty Jur," „W przededniu," „Zakryte karty," „Nemezys," „Tajny fundusz," „Chléb bez soli" i inne. Słyszymy w nich zawsze ten sam głos ostrzegający społeczeństwo, podnoszony przez czuwającego pisarza-żołniérza: „Baczność!"

Cześć mu i chwała za to!

W. Korotyński.

KAROLOWI I JOANNIE

SZAJNOCHOM

poświęcam.

Nie jeden promień światła zapaliłeś w ciemnia ch przeszłości naszéj, Bracie kochany — a pośród nas ogarnęła Cię ciemność nocy. Oprowadziłeś nas po katakumbach dziejów ojczystych, a dzisiaj nie widzisz bratniéj dłoni, którą Ci podajemy. Lecz świat Twego ducha czysty i jasny. Świéci w nim piękna gwiazda Twego anioła, świécą szczére uczucia Twoich przyjaciół! Oby Ci one wystarczyły choć za jeden promyk tego słońca, które dzisiaj dla Ciebie zachodzi.

Lwów, dnia 1-go stycznia r. 1860-go.

I.

Mieszkańcy Radziejewa mieli dzisiaj noc bezsenną. Jędrzéj Maciejaszek, najrozumniejszy chłop w całéj osadzie, widział na własne oczy dziwne rzeczy.

— I jakże to było?—pytał po raz dwudziestu Marek Paliwoda, największy niedowiarek i farmazon.

— A już ci nie inaczéj, jak mówiłem—odpowiadał po raz dwudziesty Maciejaszek.

— I poszło prostą drogą do młyna?

— Jakby strzelił.

— Święty Boże!... a w browarze?

— Świéci się jeszcze, a ten czarny pan chodzi po izbie i czegoś ręce łamie.

— To coś na złe wróży.

— Patrzy na wojnę.

— Może zaraza morowa...

— A najprędzéj, że nowe podatki nałożą — zakonkludował Marek Paliwoda, niespokojny duch gromady.

— Wam bo tylko lutry w głowie!

— Wszak sami mówicie—odburknął Paliwoda—

że dyabeł, który niósł młynarza, był kubek w kubek podobny...

Maciejaszek splunął trzy razy i przeżegnał się, a Paliwoda zaproponował swemu sąsiadowi, aby z nim udał się do młyna i tam na miejscu przekonał, że ani dyabła, ani mielnika w młynie niema.

Oburzyła się na to cała gromada Radziejewa, a farmazon Paliwoda musiał chyłkiem do domu uciekać, aby za swoję protestacyą przeciw tradycyjnéj wierze ludowéj kilka szturkańców nie oberwać. Pozostali włościanie uwolniwszy się tym sposobem od niewiernego Tomasza, zgodzili się wszyscy na jedno, iż mielnika dyabli wzięli; nie wiedzieli tylko, jakie to skutki za sobą pociągnąć może. Jedni byli za wojną, drudzy za morowém powietrzem... O nowych podatkach i lutrach nikt nie mówił, bo nie było już między nimi Marka Paliwody.

Poczciwi to ludzie, ci włościanie Radziejewscy! Wierzą oni w Boga, w przenajświętszą Maryą, wierzą w powszechny kościół katolicki, ale wierzą téż i w dyabła, z całą niezachwianą wiarą ludu polskiego, i w tém się tylko od innych różnią, że ten dyabeł w ich wyobraźni często podobny jest do burmistrza z Dąbczyna. Jest to jedyny przesąd tych prostaczków, zresztą są to ludziska bardzo poczciwi; płacą należycie podatki, nie dopuszczają nigdy do sekwestru, z wyjątkiem Marka Paliwody, który jest oczywisty farmazon i wartogłów.

Lecz zkądże ta sprawa dyabła z mielnikiem Radziejewa?

Wieś Radziejewo należy do rzędu tych osad polskich, które jak stracone czaty wysunęły się naprzód,

na sam kraniec ziemi wielkopolskiéj. Długi czas gospodarował tu jakiś podstarości, aż wreszcie po wielu latach powrócił dziedzic, a wrócił smutny i strapiony. Chciał on tutaj w cieniu strzechy rodzinnéj dośnić owych snów złotych, które mu rzeczywistość wydarła. Miał kiedyś jakiś wysoki zawód publiczny, a gdy go opuścić musiał, wszedł zgarbiony do dworca, z którego niegdyś młodzieńcem w świat wyruszył. Czynny jego umysł nie mógł i tutaj leżéć odłogiem. W tém wązkiém kole chciał odtworzyć dawniejszą przeszłość swoję. Nie mogąc zakładać instytucyj większych rozmiarów założył w wiosce swojéj szkółkę dla włościan, szpichlérz i infirmerją, w któréj spracowany robotnik mógłby bez grzechu i nędzy dokończyć żywota, a w chorobie znaléźć potrzebny ratunek.

Zawiódł się jednak w swoich oczekiwaniach poczciwy fundator. Jeszcze szkółka prosperowała jako tako w zimie, bo była obszérna i dobrze ogrzana, ale inne dwie instytucye wcale się nie przyjęły. Szpichlérz gromadzki stał pustką, chociaż co tygodnia wywożono zboże na targ do Dąbczyna, a w szpitalu gnieździły się sowy i kawki, choć znów wiele kalék rozłaziło się z wioski o kiju żebraczym.

Inaczéj téż być nie mogło... Wspólność majątku gromadzkiego nie mogła się pomieścić w głowach chłopskich, do których ekonomia polityczna jeszcze nie zaświtała, a umiérać nie na swojém śmieciu, umiérać w szpitalu, za receptą cyrulika, umiérać bez bab, ziół, czarów i zażegnywań, byłoby występkiem przeciw tradycyi ludowéj. Do tego szpital gromadzki urządzono w starym, spalonym browarze, a przecież i dziecku wiadomo, iż w każdym starym, polskim browarze mie-

szka dyabeł... Browar Radziejewa tém się różnił od innych, że zamiast jednego, miał dwóch takich lokatorów, jak to sobie na ucho opowiadali pastuchy radziejewscy. Nie dziw więc, że chory włościanin zapychał się w najciemniejszy kąt swojéj izby, trzymał się rękami i nogami śmiertelnéj pościeli i wolał starym obyczajem nawet przed upływem terminu oddać ducha Bogu, niżeli za receptą lekarza przytrzymywać ją czas niejaki w atmosferze spalonego browaru!

A cóż dopiéro dać się zamknąć w infirmerii na łaskawym chlebie! Któryż to polski kaléka, lub stary wiejski proletaryusz, dałby sobie wziąść ten poetyczny epilog swego życia, zakończonego o kiju żebraczym? Wszak to najsmaczniejsza zakąska po chudéj strawie jego żywota! Ten ruch ustawiczny, ta rozmaitość przygód, ta niepewność jutrzejszego obiadu, owe strategiczne marsze i kontramarsze wobec psów i żandarmów, ileż to poezyi, ileż uroku, ileż snów romantycznych! I jakże zrzec się owéj brody malowniczéj, owych fantastycznie zwieszonych łachmanów, jakże to w siwym kubraku z krzyżem na piersiach gnić na łóżku szpitalném, czekając jak zwierzę wymierzonego karmu!

Tak więc zbawienna fundacya dziedzica okryła się w oczach dziadów hańbą i sromotą; zamieszkały ją sowy i kawki, a biada człowiekowi... któryby pod jéj dachem dziurawym szukał w nocy schronienia!

Długo walczył poczciwy dziedzic z nałogiem swoich włościan, a gdy mu w końcu i w tém małém kółku za przestrono się zrobiło i gospodarstwo podupadać zaczęło, oddał swoję wioskę w młodsze, jak się wyrażał, ręce, czując się za starym dla dzisiejszego świata. I jeszcze więcéj ścieśnił swój zakres, zwęził go do czté-

rech ścian małego pokoiku, w którym porozwieszał na ścianach wszystkie pamiątki dziejów ojczystych po całych dniach rad się w nie wpatrując.

Następca dziedzica nie o wiele był młodszy i jemu też nie powiodło się nadać tym filantropijnym instytucyom należnego znaczenia. Szpichlérz spalił się niepojętym sposobem, a infirmerya gromadzka, vulgo spalony browar, pochyliła się z powagą ku ziemi, jak każde dzieło rąk ludzkich.

Po niejakim czasie zmieniły się rzeczy. Prostą drogą z Berlina przyjechał nieznany nikomu młody człowiek, czarno ubrany, z czarnym na twarzy zarostem. Miał on w zanadrzu dyplom szkoły medycznéj, przekazujący mu prawo łaski i miecza na cały rodzaj ludzki. Zamieszkał w Dąbczynie, a chodził po wsiach, do włościan bowiem szczególniejszą miał pasyą. Pan na Dąbczynie uśmiéchał się dziwnie, gdy o tém mówił. Utrzymywał on, że dla młodego lekarza taka praktyka jest najlepszą, gdyż pozwala mu czynić różne eksperymenta *in anima vili*...

Otóż młody lekarz będąc razu jednego w Radziejewie, dowiedział się o zacnych chęciach szanownego dziedzica, o spalonym szpichlérzu gromadzkim, oraz o tak zwanym „spalonym browarze“ i jego przeznaczeniu, a witając z zapałem wschodzącą jutrzenkę postępu i cywilizacyi, wymógł usilnémi prośbami na właścicielu Radziejewa, iż infirmeryą gromadzką na nowo wskrzesić postanowił.

W tym celu naprawiono dach dziurawy budynku, wypędzono sowy i kawki, ale dyabeł został, a pobożna instytucya razem z dyabłem przyjąć się nie mogła... Zaledwie bowiem po skończonéj reparacyi, młody le-

karz o znaczeniu szpitalu i infirmeryi radziejewskiéj gromadzie wykładać począł, wszyscy chorzy nagle, jakby cudem, ozdrowieli, ślepi przejrzeli, niemi przemówili, a co było dziadów i niedołęgów, wszystko to powymykało się chyłkiem ze wsi, pomimo pruskiego patentu „o włóczykijach.“ Słowem, wieś stała się nagle młodą i zdrową jak bursztyn, każdy miał przytułek i był syty na dni kilka...

Ale młody lekarz nie dał się zbić z drogi. Mówił, dowodził, napominał, a gdy wreszcie rządową zagroził egzekucyą, gromada poczęła się naradzać, co w takim razie uczynić wypada. Sądząc prostym sposobem, iż do dwóch własnych djabłów, mieszkających w spalonym browarze, nie trzeba nowych przywoływać, zgodzono się wreszcie na wydanie jakiéj ofiary spomiędzy swego grona, aby dobrym chęciom dziedzica i lekarza zadość uczynić.

Los padł na mielnika, któremu przed kilkoma dniami koło młyńskie zgruchotało rękę. Cały ten nieszczęsny wypadek opowiedziano lekarzowi, który natychmiast z przełożonym gminy udał się do młyna.

Na brudnéj pościeli, śród kłębów mgły mącznéj, leżał biédny mielnik. Kilka osób krzątało się koło niego. Przy nim siedział chłop z Owszyny, znany, samorodny konował w całéj okolicy. Nikt lepiéj od niego nie naprawiał nóg złamanych. Grubym sznurem powiązał zgruchotaną rękę chorego, zakręcił polanem i zmaczał wodą dla lepszego ściśnienia.

Biédny mielnik ani się skarżył, leżał spokojnie, podczas gdy jego medyk wódeczką się zakrapiał. A cała izba trzęsła się i skrzypiała, turkot kół i pytlów, oraz huk spadającéj wody był przerażający.

Stan chorego był niebezpieczny. Rana przeszła w gangrenę, na głowie ukazały się znaki silnego uderzenia. Z wielkim uporem licznéj jego rodziny, zaniesiono chorego w przygotowanéj do tego lektyce do spokojnéj i wygodnéj izby gromadzkiego szpitala. Zrobiwszy, co mu nauka i sumienie nakazywały, zostawił lekarz chorego śród czuwającéj przy nim rodziny i nocnych stróżów gromadzkich, a sam udał się już późnym wieczorem do izdebki, którą po drugiéj stronie szpitala dla nadzorcy przeznaczono.

Chory mielnik leżał na świeżém, miękkiém łóżku i patrzył osłupiałém okiem na siedzącą przy nim rodzinę. Najstarszy syn przyniósł tymczasem sporą flaszkę wódki.

— Życie człowieka to jak kropla wody! — ozwał się zięć mielnika i pociągnął z flaszki.

— Bez Boga nic się nie dzieje!—rzekła żona, dodając pszennego placka.

— Wszyscy musimy umiérać! — dodał wujaszek chorego, biorąc do ręki flaszkę.

— Człowiek jak robak na drodze! — mówił stróż gromadzki, spluwając na widok wódeczki.

I gdy tak wszyscy wypowiedziawszy głęboką sentencyą o znikomości życia ludzkiego, po wypróżnieniu flaszki, za przykładem nocnego stróża do snu się zabiérali, ozwał się chory słabym głosem, prosząc zgromadzonych o ostatnią przysługę. Smutno mu było bez turkotu kół młyńskich i pytlów; jego pierś pragnęła raz jeszcze napoić się owym mącznym pyłem, który jak mgła poranna unosi się po kątach jego izby. Zgromadzeni słuchali go ze czcią należną, a wysławszy nocnego stróża na zwiady pod drzwi lekarza, wzięli miel-

nika na barki i przez rowy i płoty zanieśli go do młyna, ku zgorszeniu Jędrzeja Maciejaszka, który właśnie stał na podwórzu swego obejścia i na własne oczy te figle czartowskie widział.

Uśmiéchnął się chory mielnik, słysząc ulubiony turkot kół i pytlów, i pełną piersią zachwycił dusznego, mącznego powietrza ubogiéj swojéj izdebki. Konował z Owszyny stanął znowu przy jego brudnéj pościeli, odwiązał bandaże, opasał sznurem rękę zgruchotaną, a nim na północ kury zapiały, dusza mielnika ulatywała na białym obłoku mącznego pyłu, śród huku i stuku kół młyńskich, w blade, sine przezrocze nocy majowéj!...

W małéj izdebce po drugiéj stronie szpitalu, siedział pod ten czas młody lekarz smutny i zadumany. Twarz miał bladą, czoło piękne, wypukłe, a ciemne, marzące oko jego powlokło się szklistą obsłonką. Mógł on liczyć lat dwadzieścia sześć lub osm; mimo to ponad piękną brwią zarysowało się kilka zmarszczek, ślady kilku głębszych myśli, uczuć, lub marzeń zawiedzionych.

Do izdebki wszedł człowiek o siwych włosach, poczciwéj, rumianéj twarzy. Postawa jego i blizny na czole świadczyły, że kiedyś służył wojskowo. Wyprostował się z należytém uszanowaniem i czekał zapytania.

— I cóż tam, Jakubie?—zapytał lekarz.

Jakub Mietlica, ekonom folwarku radziejewskiego, były wachmistrz ułanów, odkrząknął z należytą

subordynacyą, jaką miał zawsze dla ludzi uczonych i rzekł:

— Mielnik umarł, wielmożny panie, a umarł tak cicho, iż nawet żona i dzieci nie słyszały, kiedy zeń wyszła dusza.

Dwie łzy zakręciły się w oczach lekarza; wstał szybko od stołu i obrócił się do okna. Ekonom nie dojrzał łez, a gdy milczenie dłuższe nie przypadło do smaku staremu gadule, odkrząknął znowu i mówił daléj:

— Wszyscy zawodzą, aż młyn cały chodzi, wielmożny panie, a piją, co się wlézie... Ja téż mówiłem, iż z tego szpitala nic nie będzie. A nasza pani, aż odmłodniała z radości, gdy się dowiedziała, że będzie miéć chorych na swoim wikcie! Pożal się Boże, to szkoda było kołka i siekiery; chłop chłopem...

Lekarz odwrócił się szybko od okna i z tak dziwnym wyrazem na twarzy spojrzał na ekonoma, że się ten przestraszył i kilka kroków w tył cofnął.

— Gdzieś się rodził, Jakubie? — zapytał go lekarz.

— Ja... ja...—mówił zmięszany ekonom—ja... rodziłem się w Kaliskiém...

— Kto byli twoi rodzice?

— Moi rodzice... to już tak dawno... moi rodzice byli... ja byłem przy ułanach i dzięki naszemu panu, byłem wachmistrzem.

— Ale twoi rodzice, kochany Jakubie?

— Moi rodzice — rzekł po chwili ekonom, spuszczając oczy ku ziemi — moi rodzice byli poddani we wsi Smarzewie. Nie wstydzę się wcale tego, i owszem, gdy się człowiek otrząsł z śmiecia i czegoś w świecie

się dosłużył, to jakoś miléj spojrzéć na siebie i po za siebie...

— Bardzo dobrze — odpowiedział na to lekarz— praca i dobry żywot podnoszą nas coraz więcéj, ale nie powinniśmy pogardzać tymi, co za nami zostali. Widzisz, panie Jakubie, nazywasz mię wielmożnym panem, a rodzice moi może byli ubodzy, ubożsi od twoich, od ciebie!

Stary ekonom pokręcił wąsa i potarł czoło széroką, opaloną dłonią. Nie kontent był z siebie, iż wyrwał się ze zdaniem, które jakkolwiek było namacalnie prawdziwém, jednak nie podobało się młodemu lekarzowi, któremu ze względów subordynacyjnych nie chciał się sprzeciwiać. Według niego regulamin był drugą biblią: starszego słuchaj i basta. Ale kogo miał za starszego, to znowu rzecz inna. Najstarszym był jego pan, któremu w wojnie i pokoju służył, a po panu następował ten, którego pan jego czcił i poważał. Księdza proboszcza słuchał tylko przy mszy i na spowiedzi, a że burmistrza z Dąbczyna *cum sortibus* za boskie nie miał stworzenie, to wpływało z jego gorliwości religijnéj, bo wszystkim niedowiarkom zaprzysiągł był wieczną nienawiść, za co od księdza proboszcza spodziéwał się przy każdéj wielkanocnéj spowiedzi powszechną otrzymać absolucyą.

Niejaki czas milczał stary ekonom, kręcąc wąsy to w tę, to w ową stronę. Pomimo największéj subordynacyi, nie mógł jednak przypuścić, aby chłop miał u niego jakie takie znaczenie; a gdy o sobie i o swoich rodzicach rozmyślać począł, przyszła mu nagle do głowy myśl szczęśliwa: iż urodzić się chłopem, znaczy wprawdzie to samo, co miéć na sobie grzech piérwo-

rodny, ale kto był ułanem, ten grzéch swój już zmazał, a cóż dopiéro wachmistrzem, mości dobrodzieju?...

Tak myślał stary ekonom, przychodząc powoli do równowagi zmysłów, które nieszczęsne zagadnięcie lekarza nieco pomięszało.

Lekarz tymczasem przystąpił znowu do okna i utopił wzrok w szary, nocny krajobraz. Tam gdzieś z daleka, z wody Noteci wstają mgły białe i ciągną powoli ku północy, jak szaty grobowe... I zaściélają strzechy wieśniacze, spuszczają się do okien i wołają na uśpionych mieszkańców: żegnamy was, my dzieci ziemi polskiéj; wkrótce zawieje wiatr i poniesie nas do obcych... A gdy nas obaczą lecące po nad swoje dachy czerwone rzekną między sobą: Oto szaty grobowe, które wiatr przyniósł do nas z za brzegów Noteci—tam muszą być trupy, pójdźmy tam!... I mówią daléj mgły białe do uśpionych mieszkańców: wstańcie i czuwajcie, bo już bliżko wasz nieprzyjaciel!... A fale sinéj, dalekiéj rzéczki pomrukują głucho, jak płacz córki, gdy opuszcza dom rodzinny; jasne i szkliste, płyną zwolna, jak płynie łza pożegnania, a stojące po nad brzegiem drzewa szumią żałośnym wtórem, jak krewni i przyjaciele, żegnając rozstającą się z nimi dziéwicę!... Płyń, dziécię gór naszych, pieszczotko dolin polskich, płyń, rzéko polska, do obcéj ziemi, gdzie głosu fal twoich nikt nie zrozumié, nikt nie upoi się twémi wdziękami! Z tęsknotą wspomnisz o ziemi macierzyńskiéj, co cię wychowała, młodość twoję stroiła w kwiaty, dała ci posag z wód błękitnych, a tyś je zaniosła do obcych, ty dziécię słowiańskie poszłaś do nich w służbę, nosząc na swoich dziewiczych barkach ich towary i bogactwa, pracując w ich młynach i fabrykach i jak czarna nie-

Biblioteka Polska Instytutu Wydawniczego Nr. 5032

wolnica, rozdzielając swe ciemne warkocze na tysiące ramion obcych...

Stary ekonom stał ciągle przy drzwiach niecierpliwie pokręcając wąsa. Milczenie młodego lekarza mocno go niecierpliwiło. Nie mógł pojąć, jak można w nocy tak długo przez okno patrzéć, jak można obrócić się plecyma do starego wachmistrza, który miałby tyle ciekawych rzeczy do opowiadania! Ale już to świat dzisiejszy taki, pomyślał sobie stary; młode pokolenie niema czci dla żadnéj tradycyi, a zamiast w nią patrzéć jak w tęczę, obraca się do niéj plecyma, aby po ciemnéj jak noc przyszłości bezmyślnie błądzić!

Może nie tym stylem myślał stary ekonom, ale coś podobnego musiało mu przelecić przez głowę, bo nią potężnie pokiwał, a wyjąwszy z kieszeni krótką fajeczkę, zapalił ją w sekrecie.

Młody lekarz nie widział wcale téj szczególnéj konfidencyi starego ekonoma. Oparty o okno, patrzył ciągle przed siebie, w daleką, szarą przestrzeń. A tam daleko, na ciemnem niebie malują się wieże Dąbczyna, masa czarnego muru wznosi się wysoko, a u jego stóp wije się obłudna kochanka, rzéczka błękitnooka, usypiając go ostatnim zdradliwym pocałunkiem!... Śpij stary, siwy grodzie, ostatnia strażnico ziemi słowiańskiéj, upojony złotym snem i rozkoszą, śpij słodko na kresach ziemi polskiéj! Ale biada ci, gdy się zbudzisz! Zdradziła cię kochanka twoja błękitnooka, poszła do obcych, a oni za jéj śladem przyjdą do ciebie, stary, siwy grodzie, ostatnia nasza strażnico, i mury twoje rozbiorą i podzielą między siebie, aby pamięć po tobie nie została!... Oto już stanęli w koło ciebie białym

szeregiem, ściskają cię coraz więcéj, upadniesz stary, siwy grodzie, strażnico ziemi naszéj!...

Młody lekarz odwrócił się nagle od okna i zawołał:

— Czy to Dąbczyn tam na prawo?

— Dąbczyn, wielmożny panie — odpowiedział ekonom.

— A ten białawy pas po za nim?

— To niemiecka osada Siegesfeld, dawniéj po naszemu Żegocin.

— Żegocin?—to dawniéj było polskie!

— Bardzo dobrze jeszcze pamiętam! należał do klucza Dąbczyńskiego. Powoli odkupili Prusacy pustką stojące grunta i nazwali je po swojemu, co ma znaczyć pole zwycięztwa. Djabła tam, kiedy tu zwyciężyli! Pytałem już o to starego pana naszego, który wié o każdéj wyoranéj tutaj kości polskiéj, ale o zwycięztwie Niemców ani śladu w tém miejscu niéma!

— Zwyciężyli, zwyciężyli—mówił półgłosem młody lekarz.

— Jakto?—Wszak stary nasz pan...

— Byłeś żołniérzem, kochany Jakubie, a nie wiész, co to zwycięztwo. Gdy cię nieprzyjaciel spędzi z placówki i sam tam ogień rozłoży, nie straciłżeś kilkaset kroków ziemi, nie cofnąłeś się na drugą linię?...

— To prawda; sam pan major nazywał Mogiły redutą, a gdy je Warner kupił i po niemiecku gospodarować począł, rzekł pan do mnie: „Jakubie, strąć ten mostek na rzéczce granicznéj, Mogiły już nie nasze, redutę wziął nieprzyjaciel!“ I jeszcze tego samego dnia własną ręką podciąłem kładkę, przez którą

długi czas chodziliśmy wszyscy do Mogił, do pana Górnickiego. Był to bardzo poczciwy człowiek, tylko... Czy znał wielmożny pan Górnickiego, dawnego dziedzica Mogił?

Młody lekarz zrobił znak zaprzeczenia i usiadł na krześle. Korzystając z rozbudzonéj jego ciekawości, zaczął stary ekonom od tego, iż sobie już otwarcie fajeczkę zapalił, a usiadłszy w kącie na stołku, rzekł:

— Jeżeli już wielmożny pan koniecznie chce dzisiaj w spalonym browarze nocować, to gawędka starego wcale nie zawadzi. Mielnik przecież oddał już Bogu ducha, a w całéj wsi śpią ludzie, że aż miło. Poczciwy to nasz lud, ale głupi jak wół... Sam pan widział, że do niczego. Mielnik wolał umrzéć przed czasem, niżeli zaufać ludziom, co więcéj umieją od chłopa. I niéma dziwu, iż tym ludziom odbiérają koloniści z rąk grunta i domy, nazywają wsi po swojemu, a nasi idą w rozsypkę i giną pod obcym płotem. Ale jeżeli pan całą wieś obcym sprzeda, to już grzéch śmiertelny, jak mówi starszy pan, grzéch, za który niéma odpuszczenia ani na tym, ani na tamtym świecie!

— I bardzo słusznie mówi starszy pan — ozwał się lekarz.

— Otóż widzi wielmożny pan—mówił daléj ekonom puszczając z należytą subordynacyą kilka kłębów dymu—starszy pan zawsze rozsądnie mówi. A Mogiły, to znowu mówi starszy pan, dlatego tak się nazywają, że kiedyś mieli tutaj Polacy pobić Krzyżaków, rycerzy niemieckich, i ich ciała pogrzebać. Nawet na saméj granicy Dąbczyna i Radziejewa są wysokie kopce, w których bodaj czy nie leżą Krzyżacy. Psy lepiéj się znają od nas na takich rzeczach, a mój Widu, to

wyje jak wściekły, gdy tamtędy ze mną przechodzi... Stary to pies i nie głupi!

W tém, jakby wiedział, że pan o dobrych instynktach jego właśnie w téj chwili mówi, zaszczekał Widu przeraźliwie tuż pod oknami spalonego browaru. Lekarz i ekonom wyjrzeli oknem i widzieli obaj, jak ciemna jakaś postać przesunęła się ukradkiem wzdłuż ściany i znikła poza węgłem. Widu rzucił się wściekle za nią... Za chwilę okazała się postać wysoka z kijem w ręku. Widu począł skomlić i łasić się do niéj...

— Kto był ten piérwszy, tego nie wiém—mruknął ekonom—ale ten drugi, to może być tylko Marek Paliwoda, bo tylko do niego może się Widu łasić. Ale co on tak późno tu robi?...

Tymczasem Widu pożegnał na rogu browaru swojego dobrego znajomego i wrócił pod okno izdebki, w któréj według jego przekonania miał się znajdować ekonom. Było to szpetne, czarne, kudłate psisko, o małych nogach i łbie ogromnym. Obaczywszy w oknie ekonoma, zaszczekał Widu z widoczną radością, a zwróciwszy się ku północy, począł wyć przeraźliwie.

— Czy widzi wielmożny pan?—zawołał ekonom—on tak zawsze po całych nocach wyje, zwrócony do Mogił i Dąbczyna, a nieraz to biegnie aż na kopce. Bywało, wstanę w nocy i patrzę, czy złodzieje. Niema i żywego ducha, a on wyje i wyje, jakby tam ćmę nieprzyjaciół widział!

— Widu, Widu!—zawołał lekarz, chcąc się bliżéj przypatrzyć téj rozumnéj istocie.

Widu jednak nic nie słyszał, wył tylko żałośnie, zwrócony do Mogił i Dąbczyna.

— I nawet biédę miałem z tém psiskiem w Dąbczynie — mówił daléj ekonom. — Bo muszę panu powiedzieć, że Wojna z Dąbczyna, zégarmistrz, tak go nazwał i mnie darował. Razu jednego pyta mnie jakiś luter, jak się ten pies nazywa. „Widu," odpowiedziałem, nie mając nic złego na myśli. A w tém zapieni się luter, aż zgłupiałem, i takiego narobi krzyku, aż się ludzi moc zbiegła. Nie dosyć na tém... Wzięli mnie nawet do burmistrza, a ten dał mi admonicyą dość surową, abym ludzi nie znieważał. Dopiéro wtedy dowiedziałem się, że powiedziałem lutrowi wielkie grubiaństwo, gdyż na jego pytanie, jak się pies nazywa, powiedziałem po prostu: „Widu" (wie du), co znaczy po polsku: „jak ty..." A wszystkiemu temu winien był Wojna, który dowiedziawszy się o tém, spoił mnie jak cztéry dziéwki. Chciał mi psa odebrać, ale nie dałem mu, bo jakoś to mi się podobało odpowiadać lutrom, jak się ten pies nazywa.

Rzekłszy to stary ekonom wytrzepał z fajki popiół, a zapaliwszy ją na nowo, mówił daléj:

— Otóż i psisko sprowadziło mnie z drogi. O panu Górnickim miałem mówić... Wieś Mogiły, ot tam, gdzie ta kupka drzew się czernieje, to piękna i rozległa osada. Ma wprawdzie grunt mokry, ale jakie takie rowy, a w życie mógłby się człowiek schować. Ale pan Górnicki nie wiele dbał o to i nie bardzo zaglądał do gospodarki. Chociaż był nieżonaty, dom jednak prowadził wielki; miał ładne konie i karetę, polował i ucztował z gośćmi, których zawsze było pełno u niego. Pan major często napominał go, aby się powściągnął, bo wieś pójdzie cała na takie życie, na co pan Górnicki śmiéjąc się, odpowiadał: „Kochany szefie, nic tu nie

pomoże. Choćbym żył o suchym chlebie, to wieś Niemcy wezmą, bo ja z nimi sąsiaduję i widzę, co oni robią. I wszyscy pójdziemy z torbami, jeźli się tymczasem na lepsze nie zmieni, gdyż szlachcic polski nie utrzyma się przy ziemi! Oni i na piaskach pszenicę miéć będą, a szlachcic i na gnoju ma pustki. Już niebo nam nie sprzyja... Ja piérwéj, bom z brzegu, a ty po mnie, kochany szefie, pójdziesz z torbami, i Niemcowi zrobisz miejsce.“ Tak mówił zawsze do majora pan Górnicki i w niczém trybu życia nie zmienił.

Widu obrócił się znowu do ściany szpitala i począł szczekać przeraźliwie. I znów jakiś niewyraźny cień przesunął się przez szyby okienka, ale Widu rzucił się z wściekłością na niego i znowu zapędził go po za węgły browaru.

— Otóż raz już było bardzo krucho z panem Górnickim. Kilku Niemców zjechało się do Mogił i chciało wieś sprzedać na licytacyi publicznéj. Mój pan i kilku innych panów udało się do Mogił i gadu gadu z Niemcami, ale ani rusz przyjść do jakiéjś ugody. Wtém jeden z tych Niemców, niejaki Warner, którego pan nieraz widzi w Dąbczynie, przyjął cały dług na siebie i obiecał czekać panu Górnickiemu jeszcze lat kilka. Tymczasem sąsiedzi nasadzili się na hrabiego z Dąbczyna, iż pana Górnickiego wziął na komisarza i rządcę dóbr swoich. Tym sposobem mógł pan Górnicki wyjść z biédy i Mogiły oczyścić. Od tego czasu był Warner częstym u niego gościem; on to wprowadził go do Dąbczyna, gdzie teraz większym jest panem od samego hrabiego i niby rad mu gospodarskich udziela...

Widu obiegł tymczasem szpital naokoło, a zwróciwszy się ku Mogiłom, począł wyć przeraźliwie.

— Otóż w styczniu—mówił daléj ekonom—roku 1846-go przyjechał Warner do Mogił. U pana Górnickiego było kilku sąsiadów i mój pan z nimi. Ja siedziałem w kredensie i czekałem na mego pana. Co się tam między nimi działo, tego nie wiém, ale widziałem, że pan Górnicki wnet wyszedł do sieni mocno zmięszany, a za nim Warner. Poszli do przyległéj izdebki, z któréj jedne drzwi wychodziły do kredensu. A że w kredensie nie było nikogo, gdyż służba gdzieś się rozbiegła, przyłożyłem oko do dziurki od klucza, aby widzieć, co się tam dziać będzie. Mówiąc prawdę, miałem zawsze wstręt do tego Niemca i mogłem coś najgorszego sobie wyobrazić. Pan Górnicki był mocno blady, chodził po pokoju i łamał ręce, ale co między sobą mówili, tego słyszéć nie mogłem. Wreszcie wyciągnął Warner jakieś papiéry z zanadrza, a pan Górnicki siadł i coś w nich pisał. Widziałem, jak mu łzy kapały... Potém wyszli obaj, a Warner pożegnawszy się w sieni z panem Górnickim, siadł na bryczkę i odjechał. Panowie zaraz się rozjechali, a pan major powtarzał często w drodze: „Poczciwy Niemiec, biédny Górnicki!...“ Jeszcze téj saméj nocy wyjechał pan Górnicki z Mogił, a nazajutrz rano przyszedł do dworu komisarz rządowy z żołniérzami; ale we dworze już nikogo nie było. Okazało się, iż Warner jeszcze przed pół rokiem kupił już był Mogiły od pana Górnickiego, miał to nawet od niego na piśmie.

— I gdzież się teraz obraca pan Górnicki?—zapytał lekarz, który z ciekawością słuchał opowiadania starego ekonoma.

Ekonom podniósł oczy do nieba i machnął ręką.

— Pan Górnicki — mówił po chwili — wyjechał do Galicyi i ztamtąd więcéj nie wrócił. Pan major

gdy się o tém dowiedział, poszedł po raz ostatni nad rzéczkę graniczną, a widząc na łące jadącego młodego Warnera ze szpicrutą w ręku, którą mu się z daleka kłaniał, rzekł, jak panu mówiłem, do mnie: „zrzuć tę kładkę, Jakubie, redutę naszą już wziął nieprzyjaciel“.. I uczyniłem zaraz, jak mi rozkazano, ale droga, którąśmy niegdyś wydeptali do Mogił, dotąd jeszcze nie zarosła. Starszy nasz pan mówi na to, iż ścieżki naszego żywota zostaną wiecznie, bo według nich sądzić nas będzie Bóg w dniu ostatecznym! Biédny Górnicki, niech mu Bóg nie pamięta, iż kilkaset dusz wiernych zaprzedał lutrowi.

Młody lekarz wstał z krzesła, a przystąpiwszy do starego, wziął go za rękę i rzekł:

— Poczciwy Jakubie! opowiedziałeś mi rzeczy, które mnie boleśnie dotknęły, cieszę się jednak że podobne wypadki i dla was są smutnemi. Każda piędź ziemi naszéj, którą obcy nabywa, jest zwycięztwem odniesionem nad nami. Myśmy ich niegdyś zwyciężali żelazem, oni teraz zwyciężają nas pracą przemyślną, podczas gdy my upadamy gnuśnością i marnotrawstwem.

— Tak samo kubek w kubek i starszy pan mówi—odpowiedział ekonom—i w Bogu nadzieja, że nam tak łatwo karku nie złamią.

Rzekłszy to, pokręcił wąsa stary wachmistrz, a ukłoniwszy się z należytą subordynacyą, wyszedł z izdebki, dążąc na folwark, do ukochanéj swojéj Małgosi, na któréj wspomnienie coś strasznie posmutniał stary wiarus.

Długo w noc czuwał jeszcze młody lekarz. Różne obrazy z dnia dzisiejszego przesuwały się przed

jego oczyma. Widział on teraz lud przesądny, nie ufający najlepszym chęciom, lud żyjący w tradycyach wiekowego swego bóztwa, odtrącający od siebie każde lepsze, śmielsze marzenie... A naprzeciw niego stanął lud obcy, przemyślny, zagarniający jak fala coraz więcéj ziemi polskiéj, niszcząc jéj święte pamiątki... Trudna walka z takim ludem; każda chwila usuwa granice ziemi, które niegdyś zakréślił jéj naród mieczowy i mogiłami pobitych nieprzyjaciół naznaczył... I znowu wyjrzał młody lekarz z okna ku wieżom Dąbczyna, ale tym razem łagodniejszy wyraz miał na twarzy. Jego ciemne oko rozświéciło się uczuciem szczęścia, drzémiącego gdzieś w głębi duszy, o którém świat jeszcze nic nie wié, a które może pozostanie wieczną dla niego tajemnicą. Tylko czasem zdradzi je łza boleści, kilka zmarszczek wskażą ślady, którędy przemknęło uczucie gorętsze... A na szaréj osłonie nieba szybuje biały obłok; zwiesił się na czarnéj wieży Dąbczyna, tysiące złotowłosych aniołków igrają na jego białéj, łabędziéj piersi. To ona śni o tobie, szepcze mu stara grusza, a jéj sny czyste i dziécięce, jak te aniołki złotowłose, kołyszące się na jéj białéj, łabędziéj piersi... Zlicz moje liście, mówi stara grusza, a będziesz miał miarę szczęścia, które cię czeka, gdy z jéj ust pić będziesz nektar rozkoszy... Z czoła twego zdmuchnij chmury, wołają liście staréj gruszy, ona wystarczy ci za cały świat, powiedzie cię przez wonne kwiaty, śnić będziesz sny rozkoszy i szczęścia...

Lekarz stał przy oknie i marzył jeszcze słodko, gdy nagle sny jego poczęły się ożywiać. Biały obłok, wiszący u wieży Dąbczyna, zniżył się ku ziemi; kilka złotowłosych aniołków zstąpiło na piękną, zieloną łąkę.

Liście staréj gruszy zaszumiały głośno, a oni zanucili śpiéw słodki i zwolna postępowali ku niemu. Na czołach ich błyszczały światła, za nimi szedł zły duch w niemocy swojéj i warczał ze złością, iż był niemocen. A w koło nich ulatywały westchnienia, ulatywały na zawsze z ziemi, bo w piersi ludzkiéj, napojonéj szczęściem, już więcéj nie zagoszczą... To wysłańcy nieba zstąpili na ziemię... odtąd niebo zamieszka między ludźmi...

W tém znany głos starego ekonoma i szczekanie psa ozwały się tuż pod oknem. Lekarz wpatrzył się w grupę stojącą przed nim...

— Wielmożny panie—zawołał stary ekonom zachrypniętym głosem—otóż dzisiaj skaranie boże! Bestya pijana jak kloc, a chrześcijański człowiek jeszcze lutra ratować musi...

Towarzysze ekonoma położyli na ziemi ciało człowieka, który ani znaku życia nie dawał. Ekonom zaświécił mu w oczy latarką i rzekł:

— Trzeba mu krew puścić, to przyjdzie do siebie... Ależ bestya wypił kufę wódki!

Z pod za ekonoma wybiegł czarny, kudłaty pies i warczał i szczekał. Lekarz potarł ręką po czole i zdawało się mu, że go nagle oblano zimną wodą.

A gdzież są owi aniołowie o złotych włosach, z jasną gwiazdą u czoła?... Gdzież ów zły duch, co warczał w niemocy?...

Widu szczekał przeraźliwie i szarpał z wściekłością szaty człowieka, którego do szpitala wnoszono.

Przypomnijmy sobie owego Marka Paliwodę, farmazona i niedowiarka gromady radziejewskiéj, który

z nią w ciągłéj żył wojnie i tylko z kudłatym pieskiem w jakiéj takiéj był zgodzie, jak to sam ekonom przed chwilą nam opowiadał. Otóż ten Marek Paliwoda, który niedawno przed sądem gromady chyłkiem uciekać musiał, nie mógł w domu dosiedzieć, ani doleżeć do dnia białego, bo go coś paliło jak rozpalonem żelazem. Zdawało się mu, że ten djabeł, który z browaru porwał mielnika, nie mógł być djabłem, bo dobry gospodarz z własnego domu nikogo nie wykrada. I gdy to i owo w swojéj głowie rozbiérać począł, uczuł nagle w sercu jakieś dziwne natchnienie, które wyraźnie mówiło mu do prawego ucha: „Wstań, Paliwodo, i weź kij dobry, a reszta stanie się według tego, co komu z góry jest przeznaczone.“

I posłuszny temu natchnieniu wstał Paliwoda, a wziąwszy do ręki kij sękaty, pokropił go wodą święconą i wyszedł z izby.

Długi czas chodził Paliwoda po wsi, nie spotkawszy ani żywego ducha, ani stróża nocnego; chodził od młyna do browaru i od browaru do młyna, odmawiając w duchu modlitwę do Matki Częstochowskiéj, aż w tém nagle ktoś mu drogę przeszedł i chyłkiem pod okna szpitala pobiegł. Paliwoda za nim z kijem, ale tam już go nie było, bo Widu nie dał mu do ściany przystąpić.

— Musi w tém coś być — mówił do siebie Paliwoda—nie darmo miałem takie przeczucie, jakby mi coś do ucha gadało—ale znikł gdzieś jak kamfora.

Mówiąc tak do siebie Paliwoda, obaczył nagle, tuż przed nosem, gospodę, w któréj jeszcze paliło się światło. Przez szyby widać było kilku ludzi siedzących przy stole. Noc była już późna. Paliwoda po-

kiwał głową i jeszcze więcéj utwierdził się w swojém przekonaniu: że w tém coś być musi... Poczém przystąpił do drzwi gospody, pocisnął klamkę i wszedł do izby.

Izba była duża i ciemna... Łojowa świéczka świéciła się na stole, przy którym siedziało dwóch mężczyzn. Jeden z nich był to człowiek średniego wieku. Granatowa czamara znamionowała mieszczanina z małego miasteczka. Na głowie miał czapkę trójgraniastą, któréj dziwną symbolikę nie każdemu rad opowiadał. Miała ona jakieś geograficzne znaczenie. Siedzący naprzeciw niego mężczyzna mógł liczyć lat cztérdzieści kilka. Był mocno chudy, miał twarz czerwoną, obrzękłą, nos duży, trędowaty. Włosy pomierzwione i spłowiałe nakrywał biały, połamany kapelusz; od wielkich, stérczących uszów spadały na dół rudawe bokobrody. Miał na sobie surdut jasnego koloru, pomięty i zatłuszczony.

— Marku! Marku! — zawołał mężczyzna w trójgraniastéj czapce — a cóż cię tam za licho tak późno do gospody prowadzi? A kij tak trzymasz, jakbyś tu kogo chciał wybić!

Mówiąc to mieszczanin w trójgraniastéj czapce spojrzał z ukosa na swego sąsiada i uśmiéchnął się do Paliwody.

— Zdrowiście, panie Wojna—odpowiedział Paliwoda biorąc podaną rękę mieszczanina — a cóż was tak późno w gospodzie zatrzymało?

— Byłem na folwarku—mówił mieszczanin — ale Mietlicy niéma w domu, a żonce nie chciałem się naprzykrzać, bo wiécie, co to za kobiéta.

— Hm!—mruknął Paliwoda, zérkając na gościa z trędowatym nosem — to pójdźcie do mnie, panie Mateuszu, ale piérwéj...

— Co piérwéj?... potém, nie piérwéj — przerwał mu mieszczanin, mrugając na niego—ot siadaj i wypij z nami.

— A, panie Link—zawołał Paliwoda—a cóż wy tutaj? wszak do Mogił niedaleko?

Mężczyzna z nosem trędowatym obrócił się na to zapytanie, a zmierzywszy sękaty kij Paliwody, rzekł:

— Cóż to wy, Marku, dzisiaj stróżem nocnym? Taki bogaty gospodarz wstydziłby się...

— Ha, co robić, ot, człowiek spać nie może... A niéma tam jakiego nowego patentu, panie Link?

Link, włóczący się pisarz pokątny i ajent różnych kupców, zrobił minę urzędową, przeliczył coś na palcach, a wychyliwszy z kieliszka ostatek wódki, odpowiedział:

— Ostatni patent był o nowym podatku, a teraz jest w robocie o lasach pańskich, które między chłopów podzielone będą.

— A to łże, aż się kurzy—poderwał mieszczanin.

— Luter psia wiara — szepnął Paliwoda, gdy Link do szynkarki się obrócił.

Korzystając z tego mieszczanin rzekł Paliwodzie do ucha:

— Ty coś Linka masz na wątróbce!

— Ano!—mruknął Paliwoda.

— Pijże z nim i upij go dobrze.

— A to na co, alboż nie podołam?

— Głupiś, burmistrz z Dąbczyna sam ci powié,

UJK Biblioteka Uniwersytecka w Kielcach

że po trzeźwemu w pysk dać, to gorzéj jak pijanemu kość złamać; rozumiesz?

Paliwoda uśmiéchnął się na znak, że mieszczanina dobrze zrozumiał; kazał postawić na stole flaszę wódki i rzekł:

— No, panie Link, napijemy się wódeczki, bo już dawno nie byliście w Radziejewie.

Ajent otarł gębę, połknął ślinę i z słodkim uśmiéchem przysunął się do flaszy, jak do dawnéj swojéj przyjaciółki. Rozmowa szła zwykłym trybem, jak się to dzieje, jeżli nikomu o nię nie chodzi. Ajent wypytywał się o niektóre szczegóły wsi, mówił o restauracyi szpitala i napomknął coś o młodym lekarzu, który dzisiaj był w Radziejewie. Paliwoda opowiedział mu, co zaszło, a czyniąc zadość ciekawości ajenta, musiał mu każde słowo powtórzyć, które młody lekarz do gromady powiedział. Jakoś szczególnie upodobał sobie Link tego człowieka, tak iż mieszczanina to uderzyło, gdyż kilka razy Paliwodę nogą trącił. Wreszcie opowiedział Paliwoda całe zdarzenie z mielnikiem, a gdy mówił o wielkiém młyńskiém kole, które mu rękę zgruchotało i całe krwią zlane zafarbowało wodę na rzéce... ajent pobladł mimowolnie i tak jakoś stał się niespokojny, tak się wiercił na swojém miejscu, jakby gdzieś spod stołu chwytało go za nogę wielkie koło młyńskie. Nalawszy nową koléj, rzekł mieszczanin do niego:

— Pij, mości Linku, i nie lękaj się koła. Śmierć kołem już skasowana, tylko hak został. W koło już cię nie wplotą; pij Linku, pij!

Ajent chwycił kieliszek, wychylił go duszkiem, nalał drugi i wypił; ale jakieś dziwne złowieszcze widmo stało mu przed oczyma. Słyszał łoskot koła, wi-

dział mielnika we krwi... kroplisty pot wystąpił mu na czoło...

— Pij, Linku, pij! — wołał Paliwoda, nalewając kieliszek—a potém będziemy skakać!

Link pił, ale nic nie odpowiadał. Zdawało się, że nagle jakaś otchłań w nim się otworzyła otchłań, którą chciał zalać, a nie mógł... Link pił, aż mu trądy posiniały na nosie.

Wreszcie poczerniał jak mak czerwony i nagle jak bez posiniał.

— Pij, Linku, pij!—wołał Paliwoda.

Link zrobił gest ręką, jakby sobie oczy chciał zasłonić i pochylił się na ławie. Twarz mu poczerniała aż po włosy.

— Tam do kata!—krzyknął mieszczanin—jeszcze lutra ratować trzeba.

— Dajcie mu pokój — zawołała szynkarka—to już taka jego choroba. On ją już nieraz miał tutaj. Po chwili sam przyjdzie do siebie.

Mieszczanin i Paliwoda zafrasowali się nie mało i sami nie wiedzieli, co począć, gdy Linuk nagle ze stołka się zerwał i rękami machać począł.

— Precz, precz!— wołał chrypliwym głosem, patrząc szklanem okiem w najciemniejszy kąt izby — zapal trzy świéce i cztéry lampy, wysuń katafalk, a trumnę schowaj!... Cztéry a sześć jest dziesięć, weź przetak na deszcz... tam duszno i gorąco... wolę śnieg, śnieg... co za śnieg... ha! ha! ha!... Śnieg wpas, a cztéry dzieci nagie, a z każdego krew cieknie... brrrrr... zimno, śnieg w pas... czworo ich było... cztéry psy, a trzy koty... zaświéć świéce, a nasyp kadzidła i śpiéwaj *resurrexit*... precz, już go niéma... grzyb rośnie

po dészczu, czarny wielki grzyb... już go schowali, czworo dzieci, piękne, tłuste dzieci...

— Tam do kata—krzyknął mieszczanin — plecie, aż strach człowiekowi!

— Zły duch opętał go—zawołał Paliwoda.

Link rzucił się na środek izby, piana okryła mu usta, oczy krwią nabiegły.

— Precz z czapką o trzech rogach — rzekł do mieszczanina — bo ich było czworo, rozumiész, czworo ich było, a jego już wzięli... czarny wilk z białym psem nie idą w parze... Warner za mnie zapłaci, da cztéry chmury dészczu, a trzy gradu... cztéry a trzy jest siedm, a ich było czworo... kret niéma oczu, a widzi... zaświéć, bo ciemno... weź przetak na deszcz... brrr, śnieg w pas... zaświéć świéce i postaw krucyfiks, a przysięgną...

Obecni przeżegnali się krzyżem świętym, a Link wyciągnął rękę jakby do przysięgi. W tém wpadł Widu przez otwarte drzwi i rzucił się na ajenta.

— Precz, precz szatanie—wołał nieszczęśliwy — precz, nie mam duszy... głupi proboszcz i pastor głupi... precz, tam stoi krucyfiks a tam katafalk, a tam czworo ich, czworo... pod ziemią nikt nie widzi... po dészczu grzyb rośnie... weź przetak na dészcz...

Widu szarpał go za poły i szczekał przeraźliwie.

Do izby wszedł stary ekonom. Link upadł na ławę jak bez duszy.

— Wojna! Paliwoda!—zawołał ekonom—wszelki duch chwali Pana Boga!

— Pst, pst,— odparł mieszczanin — nie budź go, niech się uspokoi.

Ekonom spojrzał zdziwionem okiem po izbie.

— Mówią ludzie — ozwała się zakłopotana szynkarka — że go kiedyś wściekły pies pokąsał i od tego czasu napada go często choroba.

— Do kata—odparł mieszczanin — widziałem ja wściekłych ludzi siła, ale jego choroba nie w ciele siedzi.

— Zwariował albo co?—zapytał ekonom.

— Upił się i kwita—zakonkludował Paliwoda.

— Chociaż luter psia wiara, ale przecież człowiek...—wycedził zwolna ekonom.

— A jużci, trzeba go jakoś ratować—dodał mieszczanin.

— No, i ja mu nie życzę, aby tutaj zdechł jak pies—zakończył Paliwoda—może się choć wyspowiada i od dyabła wykręci...

Po krótkiéj naradzie zgodzono się na to, aby ajenta zanieść do spalonego browaru i lekarza zbudzić. A Paliwoda z wielkim strachem myślał o jutrze, gdy go gromada opadnie i zapyta, czy nie wierzy w dyabła, który mielnika porwał i wlazł w Linka, aby go nastraszyć. Niektórzy nawet, a najbardziéj Jędrzéj Maciejaszek, będą się uśmiéchać i powiedzą, że gdyby Link nie był nadszedł, toby dyabeł wlazł był w niego, Marka Paliwodę, farmazona i niedowiarka. Biédny Paliwoda!

Gdy Link oczy otworzył, ujrzał się w łóżku przyzwoitém, pod ciepłém nakryciem, i tak mu się jakoś podobało, że nie rzekłszy ani słowa, przewrócił się na prawy bok i jakby miał sumienie najspokojniejsze, usnął szczęśliwie snem sprawiedliwego. Lekarz nie znalazł

na nim żadnéj oznaki jakiéjbądź choroby i był tego zdania, że się upił przyzwoicie i że sen przydłuższy uwolni go od wizyj piekielnych. A chociaż mieszczanin o trójgraniastéj czapce coś strasznie sentencyonalnie na to głową potrząsał, a Paliwoda nie dowierzając temu wszystkiemu, z największą rubasznością się uśmiéchał, rozstrzygnął całą tę sprawę stary ekonom, przystosowaniem jednéj z licznych swoich reminiscencyj wojskowych.

— Czy tak, czy owak — ozwał się z należytym akcentem—myśmy zrobili swoje, a reszta nie do nas... Wprawdzie postąpiliśmy sobie nadto po samarytańsku, jak mówi ksiądz proboszcz, przywlókłszy tego lutra aż tutaj, ale dla dobrych katolików było to zawsze obowiązkiem. Pamiętam, gdym był ranny pod Lipskiem, już mi chciał rajtar głowę od karku oddzielić, gdy nagle krzyknął wachmistrz: „Hola, nie zabijaj go, bo on wtedy twoim nieprzyjacielem, gdy stoi naprzeciw tobie na własnych nogach, ale przestał nim być, gdy leży jakby bez duszy.“ Niechże Link leży sobie zdrów, a że leży bez duszy, to rzecz oczywista, bo nawet nóg swoich nie czuje.

Uspokoiwszy tym sposobem zbyt drażliwe sumienie obu swoich towarzyszy, chciał właśnie stary wachmistrz zatrąbić do odwrotu, gdy mieszczanin naprzód postąpił i rzekł do lekarza:

— Otóż i byłbym zapomniał, że właśnie miałem panu coś powiedzieć od panny Janiny.

— Od panny Janiny? — poderwał lekarz, rzuciwszy okiem na śpiącego Linka. Zdawało się mu, że Link nieznacznie ucho odsłaniał.

— Tak jest, od saméj panny Janiny — odpowiedział mieszczanin.

— Zapewnie chora?

— Zdrowa dzięki Bogu, wygląda jak róża.

— Może margrabina?

— Wszyscy zdrowi, widziałem na własne oczy— mówił daléj mieszczanin — bo właśnie dzisiaj byłem w zamku po tę skrzyneczkę, aby ją przynieść panu. Spóźniłem się jednak i nie chciałem nocą pana nachodzić.

Rzekłszy to, wyjął z pod poły coś zawiniętego w dużą kraciastą chustkę i właśnie chciał końce chustki rozwiązywać, gdy lekki szelest dał się słyszéć w łóżku, na którém leżał chory. Wszyscy spojrzeli na Linka, ale ten leżał spokojnie i zdawało się, że śpi twardo. Na twarzy jednak lekarza widać było niepokój; dał znak mieszczaninowi, aby szedł za nim do osobnéj izdebki.

— Siadaj sobie, panie Wojna—rzekł do mieszczanina o trójgraniastéj czapce — bo spory kawał drogi z Dąbczyna do Radziejewa. A naprzód mów mi pan o pannie Janinie.

— Chociaż nie wiele dziesiątek lat siedzi u mnie na karku — odparł mieszczanin, przysuwając stołek— a jednak siły już mi nie dopisują. Przez wszystkie lata żyłem tak, jak mi moje imię nakazywało; o tém wie cały Dąbczyn. Bo téż wojnę prowadzę od dziecka z tymi lutrami, ale wkrótce Wojna uspokoi się... z każdym dniem opadają siły, a grób tuż pod nogami... Lecz prawdę mówiąc, nie zazdroszczę tym, co po mnie zostaną. Może być, że się z lutrami pokumają, że założą z nimi spółkę, ale ja na to nie chcę patrzéć...

— Przedwczesny jeszcze smutek, panie Wojna... a cóż tam zleciła panna Janina?

— Panna Janina, ot młode stworzenie sobie i kwita... Skacze jak wiewiórka, aż się człowiekowi w oczach kręci, ale kto ma z górą lat cztérdzieści i widzi, jak marnie giną jego nadzieje...

— To zwykły bieg życia na świecie, panie Wojna. Nadzieje i marzenia starszych odziedziczają młodzi, cieszą się niemi i pieszczą, a za kilka dziesiątek lat oddają je znowu w ręce młodszego pokolenia.

— Nie, panie, nie... dzisiejsze pokolenie to już nie takie...

— Cóż panna Janina?—przerwał z niecierpliwością lekarz.

— Mój nieboszczyk rodzic był zégarmistrzem nadwornym u pana w Dąbczynie — bo musi pan wiedzieć, że ten kunszt jest dziedziczny w naszém imieniu. Mój pradziad wyuczył się był kunsztu w Norymbergii, a dziad mój robił ten zégar na wieży zamkowéj... Co to za zégar, mój panie! to arcydzieło! Siedmnaście kółek i trzy tryby, nie licząc w to wiatraków i szaleńców. Dzisiaj zaledwie dziewięć kółek jest w ruchu, a inne spoczywają od dawna, bo ani mój ojciec, ani ja, nie mogliśmy odgadnąć, co im właściwie brakuje. Są tam i piszczałki, w które dmuchać miał zégar, oznajmiając godziny i dając różne sygnały w czasie publicznego niebezpieczeństwa. Dzisiaj milczą one, jakby im kto gębę zamknął; i słusznie, bo cóżby to był za głos bolesny!...

— Bardzo słusznie, panie Wojna... ale...

— Mój ojciec—przerwał mieszczanin—mój ojciec był nadwornym zégarmistrzem u nieboszczyka pana,

a był to pan całą gębą! Ale czém później, tém gorzéj. Dzisiaj nie stało już Dąbczyńskich na własnego zégarmistrza—ja osiadłem w mieście. Nie chciałem iść gdzieindziéj, bo mi żal było oddalić się od arcydzieła mego pradziada; przecież człowiek kocha to, co mu przypomina jego przodków. A zresztą miałżem dopuścić, aby jaki luter świętokradzką ręką dotknął się téj świętości, do któréj ja od lat trzydziestu z równą zawsze czcią i strachem przystępuję? Wpatrując się w rdzę, która koła te trawi, zdaje się mi, że widzę Sebastyana Wojnę, jak się gniewa na mnie, jak mi grozi palcem, że obojętnie patrzę, jak dzieło jego marnieje... Wtedy biorę szybko pilnik do ręki, oczyszczam żelazo z rdzy i spokojny kładę się spać, żem pamiątkę pradziada uszanował...

— Bardzo to piękne zaiste uczucie, kochać pamiątki ojców naszych...

— Otóż po śmierci ojca mego poszedłem do zamku i rzekłem do margrabiego: „Jeżli nie mogę być nadwornym zégarmistrzem u jaśnie wielmożnego margrabiego, to niechże przynajmniéj wolno mi będzie posiedzieć z godzinę na dzień przy zégarze, który jest dziełem mego pradziada, Sebastyana Wojny.“ I dobry pan nie odmówił mojéj prośbie. Odtąd chodzę codziennie na wieżę zamkową i mam klucze od schodów. A nawet potrzeba zawsze między szóstą a siódmą godziną posunąć skazówki o dwa kwadranse, bo się coś od niejakiego czasu spóźnia starowina i jak mnie, tchu mu już nie staje. Mimo to jest on zawsze arcydziełem, na jakie dzisiejszy niemiecki fabrykant nie zdobędzie się nigdy!...

— Powinniśmy wszystko, co nasze, kochać sercem matki, kochać nawet wtedy, gdyby nie było...

— Gdyby nie było tak doskonałem jak obce! chciałeś pan powiedzieć — przerwał mieszczanin z uśmiéchem.—Sądzisz pan, że ślepa miłość mówi ze mnie, gdy tu rozpowiadam o dziele Sebastyana Wojny...

— Wierzę i bardzo wierzę — ozwał się lekarz z widocznym niepokojem—wierzę nawet, że temu arcydziełu nic niéma równego.

— Wyjąwszy Ołomuniec—uzupełnił mieszczanin, nie chcąc, by go posądzono o niesprawiedliwość.

— Tak, słusznie, wyjąwszy zégar ołomuniecki... ale mówiłeś pan o pannie Janinie?

— Wprzódy o téj skrzyneczce, którą tu mam. a która pochodzi od pana Górnickiego.

— Górnickiego?

— Tak jest, pana Górnickiego, byłego dziedzica Mogił.

Młody lekarz rzucił się na krześle z niecierpliwości. Wojna zniżył głos:

— Było to w styczniu — mówił zwolna i wyraźnie—śnieg leżał na dwa łokcie, a burza była na świecie, żeby i psa nie wypędził za próg... Już dobrze po północy zapukał ktoś do niego. I wchodzi pan Górnicki, cały otulony w niedźwiedzie. „Mateuszu, rzeknie do mnie, wiém, żeś człowiek poczciwy i że ci we wszystkiém zaufać można. Ja wyjeżdżam, i może już nigdy nie wrócę... Weź tę skrzynkę, w któréj są różne papiéry i schowaj ją u siebie. W moim dworze kto inny mieszkać będzie, nie chcę więc jéj tam zostawić. Może być, że kiedyś, jeśli będę przy życiu, upomnę się

o nią, a jeżlibym już nie żył, to ją spal lub zakop w ziemię, bo mi już wtedy nic po niéj...“

Mówiąc to mieszczanin, rozwinął chustkę kraciastą i dobył z niéj małą szkatułkę z ciemnego drzewa i postawił na stole. Szkatułka, Górnicki i panna Janina, plątały się dziwnie przed oczyma młodego lekarza...

— Otóż tę własnie skrzyneczkę przyniósł mi w nocy zimowéj r. 1846-go pan Górnicki, a zaraz nazajutrz medytowałem nad tém, gdzieby ją dobrze i bezpiecznie schować można. Przyszła mi na myśl wieża zamkowa i zégar, w którymby i wołu ukryć się dało. Więc tam włożyłem ją pod lewe skrzydło wiatraku, który już od stu lat może nie obraca się wcale... I leżała tam od tego czasu aż do wczoraj. Pan Górnicki, jak słychać, już nie żyje, a mnie także nie długo na tym świecie. Już z trudnością przychodzi mi wyléźć na wieżę, a gdy kiedy zaniemogę, to jeszcze kto wié, komu by ta skrzynka wpadła w rękę. Oto poszedłem wczoraj po nią, aby ją zabrać ztamtąd i gdzie do wody wrzucić, lub w ziemię zakopać, jak to sobie życzył nieboszczyk Górnicki.

— I właśnie ta oto skrzyneczka—wtrącił lekarz, korzystając z chwili wytchnienia opowiadającego.

— Tak jest; ta oto skrzyneczka leżała na lewém skrzydle wiatraku—ciągnął daléj zégarmistrz.—Wyjąłem ją, otarłem z kurzu, zawinąłem w chustkę i wyszedłem na ganek, jakto co dnia czynić zwykłem. I opanowało mnie jakieś dziwne uczucie... Zdawało się mi, że poraz ostatni patrzę z téj wieży... Hej, mój mocny Boże! ileż to wspomnień bolesnych ma dla mnie ten widok z wieży zamkowéj!... Przed laty trzydziestu wyprowadzał mnie nieraz ojciec na ten sam ganek, za-

kréślał ręką szérokie koło na wszystkie części świata i mówił do mnie: „Patrz Mateuszku, to wszystko, co ztąd widzisz, wszystko to ziemia nasza...“ Mój Boże! Nie wiém dlaczego, ale serce rosło mi w piersi; zdawało mi się, że na téj szérokiéj ziemi jest coś i mego, że i ja nie jestem bez dziedzictwa!

— Miłe wam jest wspomnienie dawnych czasów... Ale mówiłeś pan...

— Aha! mówiłem, żem stał na ganku z tą oto skrzyneczką... Mocny Boże! pomyślałem sobie, gdzież się podziały te dawne czasy? Gdyby mój rodzic dzisiaj wstał z grobu, cóżby mi mógł pokazać z tego ganku? Oto dziedzice tych pięknych włości pomarli, opuścili dwory, opuścili kościoły boże i lud boży, a nieznajomi ludzie, z obcą mową, bez Boga w sercu, przyszli i zajęli ich domy pradziadowskie, pohańbili pamiątki narodowe, mury kościołów rozebrali na browary i stajnie, a lud biédny, lud został bez opieki! I zaginęły imiona wsi i miasteczek, powymyślano nowe nazwy, a nim kilka dziesiątek lat minie, i śladu nie będzie polskiéj ziemi!...

Lekarz wstał z krzesła i począł przechadzać się po izdebce. Na twarzy jego malowało się wielkie wzruszenie. Przystąpił do mieszczanina i wyciągnął rękę. Ale ten nie widział teraz podanéj ręki, on był myślą na wieży zamkowéj i patrzył széroko w nieszczęsną krainę.

— I obróciłem się do wieży — mówił daléj mieszczanin — bo mi łzy w oczach stanęły. Słońce zbliżało się właśnie do zachodu i czerwonem światłem oświécało jéj mury. I pomyślałem sobie: kto wié; czyli ta wieża nie będzie kiedyś kominem jakiéj fabryki nieswojskiéj, a bezbożny fabrykant strąci zégar, dzieło

mojego pradziada, te misterne koła założy do pługa, który z każdym dniem worywa się głębiéj w rolę polską!... I gdy tak smutno dumałem, w tém słyszę, ktoś idzie po schodach... suknia szeleści... i ledwie oczy z łez otarłem, aż tu przedemną stoi... nigdy nie zgadłby pan... panna Janina!

— Panna Janina!—zawołał młody lekarz i niecierpliwie rzucił się ku mówiącemu.

— Tak jest, panna Janina. W białéj sukni, z czerwoną przepaską, wyglądała jak zaklęta księżniczka, o któréj, gdym był młodszy, opowiadano mi, iż mieszka gdzieś na zamku Dąbczyńskim. Śliczna to panna i dobra panna, każdemu da dobre słowo i zawsze ma uśmiéch na twarzy... Nie tak, jak ta panna Terenia, jak ją nazywają, która nigdy się nie rozśmieje i wygląda zawsze ponuro, jakby kogo zabiła.

— I cóż panna Janina?

— Myślałem sobie, że ot zapyta mnie, czego ja tutaj stoję na ganku, albo czego mam oczy zapłakane, a ja byłbym jéj wtedy opowiedział to wszystko... com panu teraz mówił, i jakoś lżéj zrobiłoby mi na się sercu.

— Ale ona, ona... cóż mówiła?

— Ona uśmiéchnęła się do mnie i kiwnęła głową, jak to zawsze czyni, gdy mnie zobaczy, i rzekła: „Dobry wieczór, panie Wojna. Pokaż mi, które to Radziejewo!“ Pokazałem jéj te trzy lipy i rzekłem: „I to wkrótce nie będzie nasze!“ Musiałem to jakoś bardzo głupio powiedziéć, bo panna Janina spojrzała na mnie dziwnie i rzekła: „Jakto nasze?“ Poprawiłem się i powiedziałem: „Polskie, wielmożna panno, polskie.“

— A panna Janina?

— Panna Janina nic na to nie odpowiedziała, tylko rozsunęła długą perspektywę, którą miała w ręku, i poczęła z uwagą patrzéć w miejsce, przezemnie wskazane. Po chwili zwróciła się znowu i zapytała: „Czy można stąd widzieć szpital w Radziejewie?“ Pokazałem jéj na końcu wsi czarny budynek i starą koło niego gruszę. Panna Janina zwróciła perspektywę w tę stronę i długo przez nią patrzyła.

— I cóż daléj?... cóż daléj? — zapytał niecierpliwie lekarz.

— Dobry kawał czasu upłynął, nim się znowu do mnie obróciła. Miała twarz smutną, bardzo smutną. Biédna! pewnie moje słowa wzięła sobie do serca.

— Zapewne, zapewne.

— Po chwili rzekła: „Nikogo nie widzę.“ I znowu jakby się zamyśliła.

— I nic więcéj?

— Potem zarumieniła się nieco, ale to może słońce tak czerwono zachodziło, i rzekła: „Kochany panie Wojna! Czy nie będziesz dzisiaj w Radziejewie?“ „Jak wielmożna panna rozkaże, odpowiedziałem, i tak od kilku dni wybiéram się tam na folwark.“ „Tam jest dzisiaj pan Jerzy, mówiła daléj, pójdź do niego i powiédz mu, aby przyszedł do zamku.“

Blada twarz młodego lekarza okryła się rumieńcem.

— Zapewne ktoś tam chory — mówił zwolna, pokrywając zmięszanie.

— Pytałem się panny Janiny, ale na to odpowiedziała mi jakoś niepewnie. Raz wspomniała, że mama chora, drugi raz znowu ojciec, a w końcu dodała, iż panna Teresa przeziębiła się...

Lekarz wstał z krzesła i otworzył okno. Chłodny strumień powietrza wpłynął do izdebki.

— I pomyślałem sobie: — mówił daléj mieszczanin.—Ot idąc do Radziejewa, wezmę z sobą tę szkatułkę. Bóg wie, co w niéj jest... Może nieboszczyk pan Górnicki w jakiéj rozpaczy to uczynił, że ją spalić kazał, a w niéj tymczasem mogą być rzeczy komuś przydatne. Pan Jerzy to najlepiéj osądzi, a wszyscy razem mamy dla pana wielki szacunek i pokładamy w nim zaufanie. Otóż niech pan przy wolnym czasie zajrzy do téj szkatułki, a potém pomyślimy, co z nią zrobić.

Rzekłszy to mieszczanin, wstał i pożegnał lekarza. Lekarz podał mu rękę machinalnie i odprowadził do sieni. Tam czekali ekonom i Paliwoda.

— Aha! cóż mam oświadczyć pannie Janinie? — zapytał w sieni mieszczanin.

— Jutro będę sam w zamku — odpowiedział lekarz.

Przekonawszy się, że pacyent śpi jak w najlepsze i prócz atmosfery spirytusowéj, która łóżko otaczała, żadnéj innéj niebezpiecznéj oznaki niéma, wrócił lekarz do swojéj izdebki, aby tam w gorącéj głowie uporządkować wrażenia dnia dzisiejszego.

Szkatułka była z drzewa palisandrowego z srébrnem okuciem. Jerzy — tak się nazywał młody lekarz—oglądał ją na wszystkie strony, a że była zamkniętą i kluczyka do niéj nie miał, odłożył rewizyą jéj do jutra.

Było już późno po północy. Na ciemnym szafirze nieba drżały miliardy gwiazd; małe obłoczki jak trzoda rozpierzchnięta przemykały się na krańcach widnokręgu,

a lekki powiew wiatru odzywał się jakimś dziwnym, harmonijnym akordem! Tylko na liściach staréj gruszy kołyszą się duchy niedobre. Wykrzywiają twarz i śmiéją się, a szepcą sobie do uszu jakieś wieści złośliwe.—Śmiéj się, śmiéj, ty czarny duchu; sąsiad twój spadł z liścia i złamał nogę, a ty szara gąsienico pospieszaj co prędzéj uszczknąć ziela żywota, aby nie bolał twój czarny ulubieniec, na którego gody weselne zeszli się już kumy i swatowie!... Zabrzęcz mucho, niech tańczą i śpiéwają weselni; woń jaśminu i macierzanki niech ich łechce do szaleństwa...

Już pełny dzień się roztoczył, gdy się młody lekarz obudził. Niebo było czyste i świéże, ani jeden listek nie ruszył się na drzewie... Pod starą gruszą przechadzały się spiesznie stada mrówek. Jakiś nocny wypadek zburzył im siedzibę; szukały miejsca dla nowéj. A nad niemi skacze konik polny i urąga się pracy drobnego owadu, poświstując sobie: Ja nie mam gniazda, ja konik polny, cały świat mój, lecę, gdzie zechcę!... A pod nim mrówki zataczają bryłki ziemi, sypią wały i okopy, budują miny i krużganki... A na gałęzi staréj gruszy usiadł ptaszek złotopióry i słucha z uwagą, co mu szepcą liście o niedobrych duchach nocy, które tutaj biesiadowały...

Młody lekarz patrzył przez okno, lecz nie widział mrówek, zbiérających pył ziemi dla nowego przybytku... nie słyszał śpiéwania polnego konika, ani owych przecudnych gadek, które złotopióremu ptakowi szeptały liście staréj gruszy...

Pacyent spał jeszcze smacznie, zdawało się, że dawno już nie leżał w tak wygodném i ciepłém łóżku. Z rozkoszą sybaryty wyciągał się na wszystkie strony, ziéwał, przeciérał oczy i znowu zasypiał, jakby dopiéro co się spać położył.

Lekarz wyszedł na drogę przed szpitalem, aby odetchnąć majowém powietrzem. Rozmyślając o tém wszystkiém, co zaszło nocy dzisiejszéj, sam nie wiedział, jaką drogę wybrał sobie do przechadzki. Szedł groblą ponad stawem, który rozciągał się aż po kopce Dąbczyna. Zwierciadło wody było ciche i gładkie, jak szyba lazurowa, na któréj rysowały się wierzby i topole, idące wzdłuż brzegu.

Wyszedłszy na kopiec, stanowiący granicę między Radziejewem a Dąbczynem, spojrzał mimowoli na wieżę zamkową, któréj szczyt odbijał się w stawie pod jego stopami. I zdawało mu się, że widzi owego starego mieszczanina w czapce trójgraniastéj, a obok niego stoi jakaś biała postać z czerwoną przepaską i zwróciwszy się ku niemu, szuka tęsknem okiem owéj staréj gruszy... W tém zaszeleściały za nim zioła, widzenie wionęło jak mgła poranna, a tuż przy nim stanął mężczyzna w brudnym, białym kapeluszu o rudych bokobrodach.

Link wyglądał zdrów, jakby nigdy mu się nic nie stało, a nawet uśmiéchał się tak grzecznie i słodko, jakby przez całą noc miał sny najrozkoszniejsze.

— Przychodzę podziękować panu za łaskawą pomoc—mówił z łagodnym uśmiéchem—bo przypominam sobie, żem wczoraj był mocno chory. Biédny wiele

na świecie przebyć musi, a to wszystko zostawia tam ślady.

Tu wskazał na brudną koszulę na piersiach, gdzie według jego wiary miała mieszkać dusza. Lekarz uśmiéchnął się z politowaniem.

— W mojéj młodości raniono mnie w głowę—mówił daléj ajent — i odtąd cierpię czasem na obłąkanie. W tym stanie, jak zapewniano, mówię zazwyczaj dziwne rzeczy, a nawet takie, które ludzi przestraszają. Pan jako człowiek uczony, łatwo to sobie wytłumaczy. Ale nieszczęśliwy jestem, gdy mnie ta choroba między prostymi ludźmi najdzie. Wtedy żegnają się przede mną jak przed dyabłem.

Mówiąc to, tak szyderczo jakoś twarz wykrzywił i tak brzydki wyraz strzelił z jego zielonych oczu, iż Jerzy cofnął się o dwa kroki i radby był pozbyć go się jak najprędzéj.

— Nie mnie jesteś pan obowiązany — rzekł do niego—ale właścicielowi Radziejewa.

— To swoją drogą; to bardzo godny obywatel, jakich rzadko już dzisiaj... Ale prócz tego nie zapomnę nigdy, iż i pan byłeś tak łaskaw... A może kiedy przyjdę jeszcze prosić łaski pana i tylko panu będę obowiązany...

— Mojéj łaski?

— Dąbczyn, ładny, starożytny zamek.

Jerzy spojrzał ze zdziwieniem na mówiącego.

— Panna Janina to ładna, śliczna panna, w całéj okolicy niéma ładniejszéj — mówił daléj ze złośliwym uśmiéchem ajent. Pan von der Mark sam to mówił, chociaż nie bardzo lubi polskie damy.

— Von der Mark?

— Ale za trzy dni może już nie będzie tego mówił—dodał z tajemniczą miną ajent.

— Jakto? Nie rozumiém...

— Pan biédnemu Linkowi dałeś pomoc, a Link za to już powiedział, co mógł powiedzieć... Ale oto jedzie sama panna Janina i panna Terenia... Nie przeszkadzam... Tu tak ładnie, miło, zielono — na stawie woda cicha—a tam łódka u brzegu... Ach jak ładnie, jak miło—żegnam pana...

Rzekłszy to, wykrzywił usta szyderskim uśmiéchem, włożył kapelusz na głowę i oddalił się w kierunku miasteczka, zkąd białe chmury pyłu zbliżały się coraz więcéj ku granicznym kopcom Dąbczyna.

Jerzy stał chwilę jakby piorunem rażony. Pełną piersią zachwycił powietrza, usta mu zadrżały, kilka słów niezrozumiałych uleciało w powietrze, ale wkrótce spokój osiadł na jego pięknéj, bladéj twarzy.

Tentent koni i chmury kurzu zbliżały się coraz więcéj. Wreszcie jakby z białéj mgły wynurzyła się szafirowa amazonka w białym kapelusiku na głowie. Obok niéj, o pół kroku w tyle, ukazała się druga, czarna cała, w czarnym kapeluszu o czarnych piórach. Za niemi w oddali jechał służący.

Amazonki zbliżyły się już tak blisko do kopca, iż Jerzy mógł swobodnie widzieć wszystkie ich ruchy i gesta. Rozmawiały coś żywo między sobą.

Dama w szafirowéj amazonce miała wzrost smukły i jak się zdawało, dość wysoki. Wiotka jéj kibić wyginała się uroczo na wszystkie strony. Z pod bia-

łego kapelusza wyglądały ciemne pukle włosów i odbijały się ślicznie od blado-różowéj karnacyi ciała. Oczy miała ciemne, zmrużone; usta koralowe, na pół otwarte, z których wyglądały dwa rzędy najpiękniejszych pereł. Na twarzy malowała się jakaś niecierpliwość i zdawało się, że śmiała amazonka wyprzedza myślą szalone skoki białego araba. Rysy jéj twarzy były ostro odznaczone, ruchy jednak wdzięczne i starannie zaokrąglone.

Czarna jéj towarzyszka we wszystkiém z nią kontrastowała. Była wątłéj budowy, siedziała przygarbiona i dużém niebieskiém okiem patrzyła bezmyślnie przed siebie. Na gładkiéj, prawie chorowitéj twarzy nie było żadnego wydatniejszego wyrazu, prócz znużenia i jakiéjś dziwnéj apatyi. Pewna omdlałość rozlewała się w całéj postaci, jéj ruchy były na pół urwane, niedokończone. Obojętną zdawała się na bieg czarnego rumaka zostając myślą daleko po za nim...

— Tereniu, Tereniu!—ozwała się piérwsza, a jéj twarz zarumieniła się—czy nie widzisz? czy nie poznajesz? *C'est drôle!* Patrz, pan Jerzy! A to dziwne spotkanie—dodała, zatrzymując konia.—Dzień dobry, panie doktorze! Dzień dobry!... Miléj mi było powiedzieć panu przed kilku laty: Dzień dobry, panie poeto! Nieprawda, że to jakoś lepiéj brzmi: „poeto!“ a przy „doktorze“ przychodzą mi zaraz na myśl krew i pijawki...

— Bo pani lubisz tylko kwiaty—odparł Jerzy—i nie chcesz przypuścić, że każdy kwiat upaść musi, jeżli jaki owoc ma wydać.

— *Eh bien!* Otóż pan byłeś pięknym bladoróżowym kwiatem jabłoni, a teraz jesteś cierpką, kwaśną, niedobrą płonką! Nie lepiéjże to było uschnąć wonnym kwiatem, tak poetycznie...

— Pani sympatyzujesz z dzisiejszym porankiem, który jest dziwnie przejrzysty i eteryczny.

— A pan sympatyzujesz z ciemnym, brudnym szpitalem... Nie dajesz się widzieć dobrym znajomym— chorym...

— Chorym? Czy pani margrabina...

— Nie, mama zdrowa... Terenia była trochę cierpiąca... prawda, *ma chère?*

Czarna amazonka spojrzała na nią dużém, niebieskiém okiem, jakby wcale nie wiedziała, o co ją zapytała towarzyszka. Chciała niewiadomość tę pokryć uśmiéchem, ale uśmiéch jéj zaledwo tylko zarysował się koło ust bladych i zginął nie doszedłszy do oczu. Na twarz jéj wróciła znów dawna bezmyślna omdlałość.

— A teraz niedobry, nieznośny panie doktorze a ex-poeto—mówiła daléj panna Janina—teraz możesz sobie pomyśléć, żeśmy się stęskniły za panem i żeśmy umyślnie tu przyjechały... Nieprawdaż?...

— Nigdy nie byłem tak śmiałym — odparł Jerzy spokojnie.

— A to tylko czysty przypadek—przerwała amazonka—przypadek, któremu winną jest Terenia... *N'est ce pas?*

Towarzyszka próbowała znowu uśmiéchnąć się...

— Tak jest — pochwycił młody lekarz — wierzę w ten przypadek, jakiéjkolwiek on jest natury,

a nawet więcéj, bo wierzę, iż wszystko to jest przypadkowe, coby zachwycić mogło, gdyby było prawdziwe...

— Bardzo słusznie pan sądzisz, inaczéj stałbyś się nieznośnie zarozumiałym... Ale najprzód, kiedy pan będziesz u nas?

— Jak powołaniu memu tutaj zadość uczynię.

— Odkąd zacząłeś pan mówić wiele o powołaniu, o misyach jakichś, stałeś się nawet niegrzeczny.

— Poprawiam się i czekam rozkazu, kiedy mam przyjść do zamku?

— Nie, nigdy—odpowiedziała amazonka, a ukłoniwszy się nieznacznem schyleniem głowy, uderzyła konia szpicrutem, puszczając mu wodze. Z pod jéj pięknéj, spuszczonéj rzęsy wymknęła się biała, przejrzysta łza... Arab zwinął się w kłębek, rzucił za siebie kilka chmur pyłu i w oka mgnieniu zmalał do drobnéj karty białego papiéru.

O! schowaj tę łzę, piękne dziéwczę, uronioną w majowym poranku; schowaj ją w głębi serca, aby jéj nie wykradły owe czarne psotniki, kołyszące się nocą na liściach staréj gruszy i śmiéjące się z szczęścia ludzkiego. Niech szara gąsienica nigma z niéj dyademu przy biesiadzie północnéj, z téj pięknéj, przejrzystéj łzy, uronionéj w poranku majowym!...

Jerzy stał długo i patrzył na drogę wzdłuż stawu, ale na drodze téj nie było już nikogo.

Wrócił do swojéj izdebki. Przypomniał sobie szkatułkę, którą mu mieszczanin powierzył. Dla odpędzenia różnych niemiłych myśli chciał się właśnie

zabrać do przejrzenia zawartych w niéj papiérów, gdy nagle spostrzegł, że niéma jéj na miejscu, na którém ją odchodząc zostawił. Przetrząsł wszystkie kąty izdebki, ale szkatułki nigdzie nie było...

II.

Majątek radziejewski składał się z dwóch włości: Radziejewa i Czarnowód. Czarnowody stanowiły wprawdzie tylko mały przysiołek, stykający się z Radziejewem, ale położenie tego przysiołka było tak miłe, tak ciche i ustronne, że dawny tego majątku właściciel tutaj założył swoję siedzibę, postawił dwór z cegły, nakrył go dachówką i otoczył wieńcem lip i kasztanów.

Było coś klasztornego w całéj fizyognomii Czarnowód. Jakiś błogi spokój... jakaś cisza szczęśliwego życia rozléwała się w powietrzu. Niebo wiecznie jednakie, nieco przysępione, otoczyło w sine ramy cały spokojny krajobraz. Nie było w nim żadnych goretszych barw, żadnych jaskrawych odcieni. Niebo i ziemia zdawały się sympatyzować ze sobą, jak starzy kochankowie, którzy już wszystkie zwierzenia się wyczerpali, wyspowiadali się z wszystkich uczuć swoich, zużyli pieszczoty i zachwycenia, a teraz patrzą na siebie czystém, lecz spokojném, beznamiętném okiem; zdają się używać jakichś wyższych, kontemplacyjnych rozkoszy. Złośliwy człowiek powiedziałby po prostu: że się nudzą; skąd jednak wcale nie wypływa, aby niebo

wielkopolskie znudziło się Czarnowodami, lub Czarnowody miały zobojętnieć dla nieba wielkopolskiego. Ma i starość swoje pieszczoty, ale świat złośliwy ich nie widzi.

W ciemnéj, zakonnéj szacie legły Czarnowody na zielonym kobiercu, nad brzegiem jeziora. Długie wieki spiérała się wieś z jeziorem, kto od kogo imienia sobie pożyczył. Jezioro bowiem, nazwane Czarnowody, miało w saméj rzeczy wodę dosyć czarną; wieś znów jednak miała w swojém łonie czarne trzęsawiska, z których sączyły się zdroje brunatnéj wody. Jezioro wygrało sprawę, a skromna osada cofnęła się od brzegów adwersarza, zasłoniwszy się wysoką groblą przed jego wodami napastniczémi. Z rezygnacyą, godną lepszego pola i lepszéj wody, posuwała się biédna wioszczyna coraz więcéj ku zachodowi, ale białe domki sąsiedniéj niemieckiéj osady trwożyły ją znowu, jak białe widma upiorów, jak białe płaszcze rycerzów krzyża, co niegdyś po kilkakroć najeżdżali ją pustosząc ogniem i mieczem. W tak ciężkiéj chwili zaślubiła się z niebem biédna polska wioszczyna, jak Wenecya z morzem, i przez długie wieki wpatrywali się w siebie z rozkoszą szczęśliwi kochankowie... A nawet dzisiaj, gdy już oboje jakoś postarzeli i szary, żałobny strój przywdzieli, nawet dzisiaj nie ustały ich pieszczoty, chociaż ich oko zwyczajne nie dojrzy. Tylko samotny wędrowiec widzi pod wieczór ich łzy pożegnania, gdy się do snu zabiérają, i widać, jak te ze wschodem słońca gorącym oddechem wypija niebo zbudzone, a oblubienica stroi się rada w kwiaty i uśmiécha się zalotnie, odmłodniona snami dawnych, szczęśliwszych wspomnień.

Dwór tylko śmieléj wysunął się na brzeg jeziora

i z dumą spoglądał na ciche, u jego podnóża wijające się fale. Była to dawna, bardzo dawna budowa. I widać było, że nie jedna ręka, niejeden budowniczy kierowali tą robotą. Do czworobocznego domku przydano późniéj jeszcze skrzydło z małym gankiem, prowadzącym na ogród. Z jednéj strony rzęd topol, z drugiéj kasztany ocieniały ten dworek szlachecki i tylko kiedy niekiedy z pomiędzy gęstych liści i ciemnych konarów zabłysły białe jego ściany. Cały ten dworek jakby schowany w jednéj olbrzymiéj altanie, wydawał się podobny do świątyni, ukrytéj w ciemnym borze, a jakiemuś tajemniczemu bóstwu poświęconéj.

W saméj rzeczy dziwnie tajemnicza cisza otaczała ten dworek szlachecki. Wejdźmy do jego wnętrza.

W nowo przybudowaném skrzydle, w małéj, ciemnéj izdebce znajdujemy wszystkich mieszkańców tego jakby zaczarowanego dworka. W dużém, poręczowém krześle, wybitém skórą safianową i osadzoném na kółkach, siedzi siwy staruszek. Jest on niskiego wzrostu, twarzy bladéj i zwiędłéj, ale żywych, szybko biegających oczu. Nad oczami zawieszona brew jeszcze czarna prawie dziwny stanowi kontrast z włosami białémi jak mléko. Widać z postawy staruszka, iż długie lata przesiedział już w tém krześle... i że własną siłą nigdy zeń nie wstanie. Po ciemnéj podłodze rozchodzą się w różnych kierunkach koleje kółek krzesła, a jedne z nich wychodzą aż gdzieś za próg drugiego pokoju. Jest to zapewne jedyny rodzaj ruchu, jakiego używa biédak za pomocą swego sługi.

Koło niego siedzi duchowny, zapewne proboszcz miejscowy. Twarz ma okrągłą i dobroduszną, zdaje się, iż wiele lat musiał przebyć z tym staruszkiem.

Daléj blizko drzwi mężczyzna, także już nie młody. Postawa wyprostowana świadczy, iż był kiedyś wojskowym, a małe, siwe bokobrody, idące wężykiem do ust, i krótko podstrzyżone siwe wąsy, okazują, że zawód swój wojskowy rozpoczął jeszcze w czasach napoleońskich, gdzieś pod księciem Józefem. Trzyma on w ustach krótką fajeczkę i cienkim sznurkiem, zwolna wypuszcza dymek błękitny, wypychając go czemprędzéj za drzwi nieustannem machaniem ręki. Staruszek bowiem nie lubił fajki, uważając ją za wymysł wcale niepotrzebny; z szczególnego jednak afektu dla przyjaciela, pozwalał czasami na ten jego ulubiony poobiedni specyał. I ksiądz proboszcz był tego samego co staruszek zdania, ale zdanie to nie miało tutaj wielkiego znaczenia, bo mówiąc *contra* fajce, mówił *pro domo sua* poczciwy kapłan, wielki amator tabaczki, która według niego miała krew czyścić i pamięć wzmacniać.

Na niżkim taboreciku, po lewéj ręce staruszka, oparta o poręcz jego krzesła, siedziała młoda, piękna kobiéta. Młodość jéj dziwnie kontrastowała z tem poważnem zgromadzeniem. Włosy miała ciemne, połyskujące, oczy przytem niebieskie, osłonione mgłą młodych, smutnych marzeń. Zdawało się, iż dla tych młodych marzeń nie było już miejsca w jéj życiu. Patrzyła na nie jak na kwiaty martwe bez woni, zasuszone w książce pamiątek. Głowę pochyliła na ramię staruszka; usta jéj piękne, różowe, dotykały się jego zwiędłéj ręki, a pierś jéj pełna, podniesiona lekkiem westchnieniem, zdawała się snuć z siebie jakieś dziwne, urocze obrazy, do których boleśnie uśmiéchały się jéj usta. Za nią przy oknie stał młody lekarz, którego już wi-

dzieliśmy w Radziejewie. Patrzył przez okno, chociaż prócz gęstych liści kasztanów nic ztamtąd nie widział.

Na ścianach téj małéj izdebki porozwieszane były wizerunki dawnych Radziejewa dziedziców. Trzy strzały, umieszczone przy każdym u góry, oznaczyły ród Dębiczów. Obok nich wisiały wizerunki Stefana Batorego w różnych wydaniach i różnéj wielkości. Był to ulubiony król naszego staruszka. Od lat kilkunastu pracował on nad obszernym poematem, którego przedmiotem miał być król Batory...

Cała atmosfera tego pokoiku była duszna i przyćmiona. Liście kasztanów zasłaniały okno do połowy, a wysokie krzaki agrestu i malin stykały się z niemi. Zielonawe, zimne światło wciskało się przez nie do izdebki i oblekało wewnątrz wszystko jakimś zimnym, melancholijnym pokostem. Do tego czyste, majowe niebo zachmurzyło się posępnie; duszno było w powietrzu.

Mieszkańcy dworku schadzali się tutaj codziennie, po spożyciu bożych darów, po obiedzie na tak zwane „spiritualia," jak się wyrażał sędziwy staruszek. Myślałby kto z dzisiejszych ludzi, że owe „spirytualia" składały się z jakich wódek holenderskich, likierów... Wielki to byłby błąd... Owe „spiritualia," na które staruszek po każdym obiedzie domowych i gości zapraszał do swojéj izdebki, był to wielki akt łaski z jego strony, bo do tego pokoiku w innym czasie nikt nie mógł miéć przystępu. Była to świątynia, poświęcona muzom i medytacyom nabożnym. Z niéj to odczytywał zgromadzonym i objaśniał przykładami z własnego życia miejsca różne z pisma świętego, opowiadał ustępy z żywotów świętych, a na smaczną zakąskę po-

dawał ten lub ów rozdział z swojego poematu z wszelkimi wariantami, co do których zasięgał rady każdego z osobna, chociaż w końcu z nikim się nie godził. Najżwawsze utarczki w tym względzie staczał z księdzem proboszczem, który był przekonany, iż co do poetyki gruntowne posiadał wiadomości. Jeszcze w jednéj rzeczy nieubłaganym był poczciwy proboszcz, co sędziwego poetę nieraz całą bezsenną noc kosztowało. Wypowiedział on z góry zawziętą krucjatę wszystkim bogom Olimpu i nie pozwolił nigdy, aby obok N. Panny z Jasnéj Góry stanęła nieunikniona w poemacie bohatérskim Bellona; a obok Michała archanioła nie mógł znieść Marsa, do którego jeszcze z czasów szkolnych miał jakiś wstręt niewytłumaczony. Można sobie wyobrazić, jak strasznym dla klasycznego poety był poczciwy proboszcz, z jaką rozkoszą uśmiéchał się do siebie, zażywając tabaczkę, gdy po wczorajszéj perorze, któréj poeta wcale niby nie akceptował, obaczył powykréślane jak najsumienniéj imiona niektórych bogów pogańskich...

Dzisiaj jednak w atmosferze tego pokoiku panowało coś ciężkiego. Jakaś chmura niewidoma ciężyła na wszystkich. Staruszek swoim zwyczajem przeczytał znów długi rozdział, przeciwko któremu ksiądz proboszcz bynajmniéj nie oponował, a nawet w końcu silny wiérsz i dobitne obrazy z wielkim pochwalił aplauzem. Reszta zgromadzenia milczała, zdawało się, iż każdy z nich był w téj chwili więcéj sobą zajętym. A nawet możnaby i księdza proboszcza posądzić o jakieś dziwne roztargnienie, inaczéj nie byłby Bellony, Marsa i Jowisza przepuścił.

Dalsza więc literacka pogadanka była z braku opozycyi ze strony proboszcza wprost niemożliwą. Staruszek zamknął spiesznie tekę i zwracając się do młodéj kobiéty, całując ją przytém w czoło, rzekł:

— Moja Zuzia coś dzisiaj smutna; zapewne ten trzpiot Tadzio zapomniał po obiedzie rączkę ci ucałować.

Owym trzpiotem Tadziem nie był nikt inny, jak ów napoleonista z krótką fajeczką, który na słowa staruszka uśmiéchnął się z zadowoleniem, jak człowiek, co swój obowiązek należycie wypełnił. Młoda kobiéta uśmiéchnęła się także, a nawet z wyrazem tkliwego przywiązania spojrzała na męża.

— No i cóż za przyczyna tego smutku — mówił daléj staruszek—czy cię głowa boli, czy mak może nie chce schodzić?

Młoda kobiéta przycisnęła twarz z gorączkowém jakimś uczuciem do ramienia staruszka, a gdy nań spojrzała, miała oczy jak po łzach zwilżone. Ujęła rękę staruszka, przyłożyła do gorącego swego czoła i wyszeptała cichym głosem:

— Głowa mnie boli, kochany dziadziu — wyszeptała—nic więcéj...

— Wypij herbatę z polnych bratków, a ból ustanie—ciągnął staruszek, odgarniając jéj oczy z białego czoła.

— Usłucham dziadzia — odpowiedziała piękna wnuczka—i zaraz pójdę kazać zgotować.

— Ale proszę cię, moja Zuziu — zawołał staruszek na odchodzącą — przyjdź tutaj na powrót i nie bądź sama, bo jak widzę, masz dzisiaj znów wielką ochotę do płaczu.

— Przyjdę, kochany dziadziu — odrzekła, zamykając drzwi za sobą.

Napoleonista z krótkiéj fajeczki puścił raźno kilka kłębów dymu, a spostrzegłszy się, wyjął z ust czém prędzéj zdradliwą kochankę i rzekł do proboszcza z dobrotliwym uśmiéchem:

— Już to ksiądz proboszcz wiele zawinił, iż moja Zuzienka tak tkliwą jest na wszystko. Jako jéj spowiednik musiał sumienie jéj zanadto roztkwilić. Ona dzisiaj już nawet i kury nie daje zarżnąć, zdaje się jéj bowiem iż to grzech odbiérać życie temu, któremu Bóg je dał... A takie sumienie to przecież rzecz niepraktyczna. Gdybym ja miał takie sumienie, czyż mógłbym z zimną krwią kazać strzelać w trzy bataliony piechoty, z których w przeciągu dziesięciu minut zrobiłem formalną potrawkę z drobiu...

— Widzisz, kochany majorze — odpowiedział ksiądz probosz — *to altera rei conditio*. Sam Mojżesz wybił mnóstwo Izraela kamienną tablicą, iżby dać zwycięztwo prawdzie objawionéj. To hart duszy męzkiéj, a kobiéta...

— Kobiéta — odezwał się staruszek — powinna być czułą matką, dobrą żoną, lecz nie powinna żadnym wymarzonym słabostkom ulegać, jakich się u nas wraz z romansami francuzkiemi namnożyło. Zuzia—mojém zdaniem — ciągnął daléj staruszek, patrząc z uwagą na drzwi—Zuzia jest złotém dzieckiem. Nie mówię to dlatego, żem ją sam na własnych rękach, gdyż od dziecka była sierotą, wychował, ale mówię szczérze i otwarcie, jakby mi najzupełniéj obcą była. Gdzieżby inna tak prędko rady starego dziadka usłuchała, gdy jéj przyprowadził starego żołniérza, co chociaż stanowił

skarb dla mnie z powodu zasług swoich, był jednak trzy razy od niéj starszy! Miała wtedy lat szesnaście, była piękna i świéża jak róża majowa, a ja rzekłem do niéj: „Zuziu, czy pamiętasz ty wszystkie lekcye moje? Czy wiész, jaką miłość powinniśmy miéć dla ludzi, którzy życie swoje tylokrotnie poświęcali dla dobra powszechnego?...“ A gdy z drugiego pokoju wyszedł major, wprawdzie z siwą czupryną, ale z piękną szramą na czole i po staropolsku przed nią ugiął kolana a nawet jak młody mazgaj jaki w głos się rozbeczał, Zuzia natychmiast rozpłakała się, siwą głowę konkurenta przycisnęła do piersi i dotąd jeszcze, chociaż to już ośm lat minęło, mile wspomina tę chwilę, a nawet śmieje się figlarnie z kłopotów Tadeusza, który wolałby iść na zdobycie reduty, aniżeli oświadczyć się pannie szesnastoletniéj! A co, któraż panna dzisiaj tak uczyni?

Podczas gdy ksiądz proboszcz w swojéj niezawodnéj tabaczce, co krew czyści i pamięć wzmacnia, szukał konceptu, poczciwy major uśmiéchał się z wyrazem najzupełniejszego szczęścia, które po wielu trudach wojennych zaświtało mu w nagrodę przy schyłku życia. Tymczasem proboszcz przyszedł do słowa:

— Już to pani majorowa jest kobiétą, jakich dziś mało na świecie. Zeszłéj niedzieli, przygotowując się w duchu do kazania na temat o aniołach stróżach, którzy wiodą człowieka po ściéżkach jego żywota, gdy tak sobie takiego anioła idącego po prawéj stronie człowieka *in persona* wyobrazić chciałem, wchodzi do kościoła nasz kochany major, a koło niego prawdziwy anioł... Otóż obraz anioła stróża, pomyślałem sobie, a wyszedłszy na ambonę, zwracałem się zawsze mimowolnie w kazaniu do ławki, w któréj siedziała pobożna

kolatorka. A nawet i malarz nie mógłby lepiéj tego obrazu pochwycić! Bo człowiek obok anioła stróża musi wyglądać jak stary, spracowany, znużony pielgrzym, któremu już tchu nie staje; źrenica przygasa, nogi się plączą, a całą jego nadzieją jest młody, hoży towarzysz, którego młodość i siła są wieczne, który nie nie opuści go aż póki wraz z duszą jego nie odleci do nieba...

Major posunął się niecierpliwie na krześle. Proboszcz zapędził się w zapale i w tak niezręczny sposób zdjął zeń konterfekt człowieka, którego anioł stróż prowadzi, iż jako żywy model tego konterfektu uczuł się nieco skrzywdzony. Co dostrzegłszy staruszek, uśmiéchnął się i rzekł:

— Zwolna, zwolna, Tadeuszku, bo zbombardujesz mi jeszcze proboszcza. Patrz, aż się zakrztusił, tak dmuchnąłeś na niego dymem. Gdyby gęba twoja nabitą była kartaczami, już by nie żył ksiądz Maciej.

Proboszcz zażył tabaczki, aby sobie naprędce przypomnieć, czy czego niedorzecznego nie powiedział; ale właśnie na jego nieszczęście zawiodło go tym razem niechybne jego *remedium*. Nic nie mógł sobie przypomnieć, a nie rozumiejąc tym sposobem aluzyi słów, dopiéro co przez staruszka wyrzeczonych, odpowiedział na nie zwykłą swoją formułą, któréj wtedy zawsze używał, gdy nie był pewny, iż rzecz zrozumiał lub dobrze dosłyszał:

— Wszystko się tak na świecie dzieje, iż i najrozumniejszy człowiek przyzna sobie jutro, że to było głupie, co wczoraj mówił lub uczynił. *Et ego quidem*, mówię to dzisiaj, com mógł dopiéro może jutro powiedzieć.

A gdy znowu téj tak hazardownéj sentencyi ani staruszek, ani major, ani nawet młody lekarz, który stał ciągle przy oknie, zrozumiéć i do czegoś zastosować nie umieli, gawędka wróciła znowu do miejsca, w którém zatrzymał ją ksiądz Maciéj niezręcznym swoim konterfektem anioła stróża.

— A że jest czasem smutną i nawet zapłacze sobie—mówił daléj staruszek — to temu wcale się nie dziwię. Ludziom na ziemi zawsze czegoś brak...

— „Ciernie i głogi będzie odtąd rodzić dla was“— wtrącił ksiądz Maciéj.

— Tak jest, ciernie i osty są tutaj udziałem człowieka; a to tém słodszą dla nas nadzieją, iż kiedyś zaświta nam inne życie, w którém niéma ni łzy, ni bólu, a za którém koniecznie tęsknić i płakać musimy.

— Tęsknota do życia zagrobowego — ozwał się ksiądz Maciéj — jest wrodzoną wszystkim ludziom, a nawet tym, których łaska Boga nie oświéciła jeszcze prawdą religii objawionéj.

— Oto co wzięliśmy z sobą, wychodząc z raju— mówił daléj staruszek, a blada twarz jego ożywiła się wyrazem głębokiéj pobożności—tę właśnie tęsknotę do lepszego życia; bez niéj bylibyśmy zwierzętami; jak inne, niższe od nas stworzenia. Ta tęsknota kołacze nam ustawicznie w sercu i przypomina, abyśmy dbali o żywot wieczny. Ona wyciska nam łzy, których sobie nieraz wytłumaczyć nie możemy, nasyła nam niepokojące przeczucia, dziwne, zagadkowe pragnienia, które często przypisujemy ziemskim jakim przedmiotom lub zdarzeniom, gdy to tymczasem dusza nasza wzbija się po za mgły ziemskiego widnokręgu i pożądliwém okiem patrzy w rozkosze niebieskie!... I cóż

ty na to Farysie? — dodał, zwrócony do młodego lekarza.

Jerzy przysunął do okna opróżniony taborecik, a usiadłszy na nim, odezwał się, jak następuje:

— Bardzo szczytne jest takie tłumaczenie tęsknoty, niepokojącéj nas na wszystkich ściéżkach naszego żywota; ale ja nadałbym jéj obok tego ostatecznego celu jeszcze inne cele, a mianowicie te, których ona na ziemi dosięgnąć może. Jak nie możemy żądać od młodéj rośliny, iżby natychmiast nasienie na przyszły plon wydała, tak również nie można wymagać od człowieka, aby, zaledwie w świat wstąpiwszy, już o niczém innem nie myślał, jak o przyszłém życiu swojém. Do tego musi on dążyć stopniowo. Jak roślina bowiem wydaje naprzód kwiat: z kwiatu, który opada, zawięzuje się owoc, i w tym dopiéro dojrzewa zwolna ziarno przyszłego plonu—taki sam period i ludzie muszą przebyć na ziemi. I to ich życie ziemskie musi miéć swój kwiat i swoje owoce, bo bez nich trudna potém droga do nieba...

— Otóż to wasza nowa szkoła — zawołał żywo staruszek — wybryki romantyzmu, dokądże zaszliście za mistrzami téj waszéj szkoły? Słuchaj, mój kochany Jerzy. Znałem cię dzieckiem na rękach nieboszczki matki twojéj, gdy mieszkała w Kaliskiém; widziałem cię młodzieńcem, gdyś tutaj do nas przyszedł; słyszałem cię w końcu czytającego własny twój poemat o Bolesławie Chrobrym i cieszyłem się w duchu, że ci słuchacze przysklaskują. Od tego czasu zdawało mi się, żeś zapomniał o starych ludziach, bo Oda do młodości nazwała ich starą, spleśniałą korą. Czytałem wiele w waszych dzisiejszych pismach o tobie i pomyślałem

sobie: Szczęść mu Boże, snać ja za stary, ja ich już nie rozumiém. Ale będę czekał, dokąd oni zajdą. I cóż? Oto przebiegłeś jak Farys całą krainę poezyi i znalazłeś na niéj tylko piaski i szkielety! A gdzież owe kwiaty czarodziejskie, owe zaklęte dziewice, owe pałace rajskich roskoszy?... Z czémże wróciłeś z krainy romantycznéj poezyi?... Oto wypaliłeś serce i duszę piaskami pustyni, na któréj szukałeś kwiatów i zdroju życia!... I roztrzaskałeś lutnię o skały Olimpu i poszedłeś do kliniki, aby na trupie, z nożem w ręku, uczyć się tego, czego cię nie mogło nauczyć samo natchnienie, ów wasz Bóg wszechwładny, wasza Alfa i Omega! Taki to koniec waszych wyobrażeń romantycznych; daj Boże, aby trzeźwe przebudzenie nastąpiło jeszcze dość wcześnie.

Staruszek odetchnął i zamilkł na chwilę.

— Oto—zaczął daléj — wzięliście ludziom Boga i religią, a natomiast cóżeście im postawili?... Namiętność i żądze! Szczęście według was to zadosyćuczynienie żądzom i namiętnościom, czy to ciała, czy ducha. Według was w młodości trzeba szaleć, szaleć aż do znużenia, trzeba łamać szranki, które nam stawia społeczeństwo, a potém zebrać to całe życie jak garść błota i z satyrą na ustach rzucić je po za siebie, zamiast Epopei napisać Don Juana... Według nas wszystko musiało iść ubitym gościńcem; przed nami były tylko obowiązki, a wypełnienie tych obowiązków napawało serca owém cichém, spokojném szczęściem, o jakiém wy dzisiaj pojęcia nie macie! Bo człowiek tyle tylko na ziemi używać powinien, o ile mu sumienie jego mówi, iż obowiązkom zadość uczynił. Reszta to grzéch

i bałwochwalstwo. Postawmy tylko zamiast Boga i religii — żądzę i namiętności, a najwięksi zbrodniarze oczyszczą się w obec nas i będą biali jak aniołowie w niebie. Dzisiaj bierzemy jednę lub drugą namiętność, nazywamy ją szlachetną, albo przynajmniéj konieczną, malujemy z upodobaniem jaskrawe jéj barwy, a tymczasem ona sama rozrywa węzły rodzinne, odbiéra mężowi żonę, a dzieciom matkę... Bo namiętność jest u was większą od zaprzysiężonych obowiązków!

Staruszek spoczął. Na jego twarz wystąpił rumieniec. Dawno nie mówił z takim zapałem.

— Jakby mnie kto z ust wyjął, mości dobrodzieju — rzekł rozrzewniony proboszcz—tylko nie byłoby to tak gładkie i dosadne, jakeś pan dobrodziéj powiedział.

— Jakkolwiek—odezwał się teraz Jerzy—srogi jest wyrok, który dzisiejszą literaturę dopiéro co spotkał, nie myślę jéj tutaj bronić, zbyt bowiem wielki jest przedział wieku, doświadczenia i zasług między sędzią a obrońcą. Niech mi tylko wolno będzie wspomnieć, że zarzuty powyższe tyczą się więcéj dzisiejszéj literatury francuzkiéj, ale nie naszéj, narodowéj. Nie znam u nas żadnego pisarza, któryby piórem swojém chciał rozrywać węzły rodziny i społeczeństwa, schlebiając rozkiełzanym żądzom i namiętnościom. U wszystkich prawie powtarza się jeden i ten sam akord, owa tęskna nuta, która u nas idzie jeszcze zawsze przed niebieską, zagrobową ojczyzną. Ta nuta i moję sprawiła metamorfozę... Wyśpiéwawszy to, co mi w duszy grało, spostrzegłem, iż mnie słyszą tylko ci i rozumieją, którym mojéj pieśni już nie potrzeba, bo sami mają ją w sobie. Ale spostrzegłem opodal stojących słuchaczy

którzy nas nie rozumieją—obaczyłem lud nasz... Do niego pismem nie dotrzéć — trzeba samemu wnijść do chaty i rękę mu podać. Dlatego nauczyłem się leczenia chorób cielesnych, a na myśli mam zawsze choroby ducha, którym coraz więcéj ulega kraj biédny. Wyższy cywilizacyą naród przygniata nas coraz więcéj swoją oświatą; a my niebaczni na to, zaumiéramy zwolna pod tym ciężarem, jak zasypiający człowiek śród śnieżnéj zawiei! I pół wieku nie minie, a kołyska plemienia naszego stanie się piérwszą jego mogiłą!...

Jerzy poczuł łzę w oczach i szybko wstał z taborecika. Spostrzegł ją staruszek, a wziąwszy go za rękę i przyciągnąwszy do siebie, wycisnął pocałunek na jego czole.

— Jest zawsze coś herezli i bałwochwalstwa w twoich słowach, kochany Jerzy — ozwał się z słodkim uśmiéchem—ale za to i ksiądz proboszcz może ci kiedy dać absolucyą, jeżli się szczérze w piersi uderzysz. To „coś,“ co kładziemy *ante omnia*, a nawet i przed ojczyzną niebieską, jest naszym grzéchem piérworodnym, a nawet nie wiém, czyli i za grób nie weźmiemy sobie jakiéj śpiéwki naszéj...

Ksiądz proboszcz zażył tabaczki, widać, że rad był jakoś z siebie i z mowy staruszka.

— Ale wy młodzi—ciągnął daléj staruszek—jesteście wszyscy gorąco kąpani. Za to, co wam się w nocy przyśni, rano chcielibyście się już poświęcić, nie mając na względzie, że i przed wami nie żyli na świecie sami pasibrzuchy, że i przed wami próbowali ludzie różnych poświęceń! Chcesz pracować dla ludu, patrz zaraz u mnie znalazłeś ślady, żem taką pracę także miał na celu... Praca moja upadła, i twoje nadzieje

zostały zawiedzione. Mielnik zmarł w młynie, gdzie się urodził, a inni okradli cię nawet! Zapewne z antypatyi ku wszelkiéj nauce wzięli ci szkatułkę z medykamentami, abyś ich więcéj nie nudził. Ale mniejsza o to... Trzeba miéć cierpliwość. Potrzeba zacząć od elementarza, a reszta sama się znajdzie. Nam oświata obca nic nie odbierze, ale ich pługi, ich prace i przemysł wszystko nam wydrą. Otóż przedewszystkiém trzymać się nam ziemi naszéj, naszych majątków dziedzicznych. Dlatego to dla Zuzi sam wybrałem męża. Pomyślałem sobie: Tadeuszowi nikt nie odebrał bateryi, otóż pod jego komendę oddam Radziejewo i Czarnowody; dam mu kobiétę jak aniół, a przy boskiéj pomocy nic nam się nie stanie... Pamiętaj Tadeuszu — rzekł zwrócony do męża Zuzanny — pamiętaj zawsze, iż ziemia Dębiczów, ich dwór i grobowiec, są pod twoją obroną. Jeżli nieprzyjaciel tu wnijdzie, ja się mu już nie ustąpię; ostatni Dębicz legnie w grobowcu z przekleństwem na ustach, iż go oddano obcym ludziom!

Wszyscy mieli łzy w oczach, a poczciwy major słuchając, przysięgał staruszkowi, iż grobowiec Dębiczów będzie dla nieprzyjaciół fortecą niezdobytą.

Na tém zakończono dzisiejsze „spiritualia," które się jakoś dłużéj przeciągnęły jak zwykle. Major otarł spłakane oczy, nałożył świeżą fajeczkę i wyszedł w pole, ksiądz proboszcz pospieszył do szkółki, staruszek oparł głowę o poręcz krzesła i zmróżył oczy, a Jerzy wysunął się cicho z izdebki, aby mu snu nie przerywać.

Zaledwie kilka kroków ku bramie dziedzińca postąpił, gdy ujrzał wjeżdżającą w nią cztérokonną karetę z herbami Dąbczyńskich.

— Ach! jakby pana kto wołał!—rzekła do niego margrabina, wychylając się z karety. Oczekiwaliśmy dzisiaj pana na zamku — moja Nińcia jest trochę cierpiącą. Jeźli to panu nie sprawi dywersyi, czekamy z herbatą.

Rzekłszy to, uśmiéchnęła się uprzejmie, żegnając Jerzego lekkim uchyleniem głowy.

Kareta zaturkotała i posunęła się przed dworzec Dębiczów, a młody marzyciel widział w téj chwili mnóstwo wież i ganków wkoło siebie, oraz całe grono białych postaci z różową u piersi przepaską. Jego serce uderzyło mocniéj, twarz zafarbowała się lekkim rumieńcem.

Margrabina nie zastała majorowéj w pokoju, a widząc, iż służący do ogrodu po nią się puścił, dała mu znak ręką, iżby się wrócił. Wywiedziawszy się należycie, w któréj stronie ogrodu majorowéj szukać potrzeba, otworzyła zgrabny, ciemnozielony „en-tout-cas“ i puściła się ścieżką wysypaną żółtym piaskiem.

— Przecudnie, prześlicznie! — mówiła sama do siebie, oglądając się na wszystkie strony — ta cisza, to ustronie... *un peu triste*... ale co za myśli swobodne!...

I tak daléj rozmawiała z sobą margrabina. Była to niska, we wszystkich swoich kształtach jeszcze dosyć zaokrąglona dama, mimo, że twarz poprzecinana licznémi zmarszczkami okazywała już wiek stateczniejszy, w którym zazwyczaj uspakaja się każda kobiéta. Margrabina zdawała się jednak czynić wyjątek. Jakkolwiek w jéj sercu, które dobijało już cztérdziest-

ki z okładem, mógł już zamieszkać pewien spokój i statek, zewnętrzne jednak jéj ruchy nagłe i gwałtowne, najczęściéj na pół urwane, oznaczały nerwowe, wiecznie niespokojne usposobienie. Jéj twarz grała ustawicznie odcieniem barw najróżnorodniejszych, a ta rozmowa saméj z sobą zdradzała ciągły natłok myśli, które głośną mową starała się przytrzymać w pewnym ładzie.

— Ach! to klasztor prawdziwy — mówiła daléj, skręcając w ciemną ulicę lip odwiecznych — to pensyonat... nigdzie oddechu... ah! *la belle nature, prend ici son haleine...*

Margrabina odetchnęła; ciemna ulica lip kończyła się wąską ścieżką. Widok obszérny otworzył się przed jéj oczyma, ale majorowéj nigdzie widać nie było.

Była ona samotną w téj chwili i nie marzyła o tém, iż na jéj czyste, chociaż przyćmione niebo wypłynie chmura udręczeń i niepokojów.

Wyszedłszy z izdebki, w któréj odbywały się tak zwane „spiritualia," przebiegła szybko przez kredens, nie dając rozkazu przygotowania herbaty, któréj doradził jéj poczciwy staruszek. Chciała się czémś rozerwać, zapragnęła świéżego powietrza. Wyszła do ogrodu, aby uzbiérać dziko rosnących bratków. Przejrzała wszystkie klomby drzew, przeszła kilka razy przez wielki gazon, okrążyła cały ogród do koła, ale żadnego bratka nie znalazła. A przecież było ich pełno pod klombami, pełno na wielkim gazonie i w każdym zakątku ogrodu. Ale Zuzanna nie widziała ich, chociaż krocie skonały pod jéj stopami. Jakieś złe demony, psotniki, zasłaniały jéj wzrok, pląsały przed nią i skakały z trawki na trawkę, z kwiatka na kwiatek.

Zuzanna jakby przypatrywała się ich pląsom, szła za nimi do ciemnéj, lipowéj alei zapominając o bratkach i przyrzeczeniu danem staruszkowi.

Ostrożnie, młoda, piękna kobiéto! W ciemnéj, lipowéj alei pełza mnóstwo czarnych gadów; brzydkie, stubarwne gąsienice kołyszą się na liściach lipowych, a twoje czyste, białe ramiona obnażone, twoja stopa często dotyka się brzydkich, plugawych gadów, chociaż na pozór ubrane są w kolory tęczy!... Strzeż się, dotknąć się tych złudnych, złocistych postaci; one cię wabią coraz daléj, coraz daléj, aż tam, gdzie cię przemienią w brzydkie potwory! A wtedy już późno będzie wracać, wtedy już nie wrócisz?...

Zuzanna kroczyła zwolna długą, ciemną aleją. W sercu jéj panował jakiś dziwny niepokój. Przyspieszyła kroku i wyszła na piękną, zieloną polankę, która ciągnęła się wzdłuż brzegu jeziora. Nad samym brzegiem była grupa drzew, a pośrodku nich bielała się mała altanka. Było to zwykłe miejsce jéj wypoczynku. Tam lubiła siadywać z książką lub robótką w ręku, a spokojne, ciche zwierciadło wody napawało jéj duszę błogiém upojeniem. Tam czytywała często staruszkowi o dawnych czasach, podczas gdy szczęśliwy major mógł otwarcie puszczać dym, tworząc zeń najrozmaitsze kółka i zygzaki.

Do téj altany weszła teraz i usiadła. Spojrzała na jezioro. Było ono wprawdzie ciche i spokojne, ale lice jego zmatowało się i sposępniało, jak twarz nieszczęśliwéj, marzącéj kobiéty. Złe duchy - psotniki pływały po tych ciemno-zielonych falach i uganiały jedne za drugiemi z wielkim śmiéchem i chichotem. Zuzanna czuła niepokój w sercu.

Na drugim brzegu jeziora była mała wysepka, zasadzona starymi drzewami, a połączona z brzegiem szeroką groblą. Na téj wysepce stały ruiny klasztoru Bożogrobców. Nie mógł milszego ustronia wybrać pobożny fundator... Wyspa ta utworzyła się wskutek jakiegoś gwałtownego wezbrania jeziora, którego wody, wdarły się w wysoki brzeg i wykroiły zeń część lasku, co niegdyś ciągnął się wzdłuż jeziora. Później wycięto las i zamieniono na orne pola, tylko na wysepce zostało kilkaset drzew starych, do których przystęp tamowały wody jeziora. W tym gaiku wybudował pobożny człowiek dom Boży i oddał go w opiekę Bożogrobców. Fryderyk Wielki zniósł zakon Bożogrobców; klasztor stał się pustką i rozpadł się w gruzy, tylko mały kościółek wyglądał jeszcze z po za drzew i z smutną twarzą patrzył w ciemnozielone wody jeziora, w którym odbijały się pochylone jego krzyże. Pokrycie bowiem jego już dawno zapadło, tylko dwa główne mury z krzyżami sterczały jeszcze i wyglądały jak dwie w niebo wzniesione ręce, błagające ratunku! Drzwi do świątyni były zamknięte i opieczętowane. Na progu porosła trawa i dzikie zielsko; sowy i kawki gnieździły się w wyłomach muru. Wązka tylko ścieżeczka wiła się przez gęste zarośle; wydeptali ją mali, ubodzy pastuszkowie, niosąc wieńce z maików i bławatków dla Najświętszéj Panny Maryi, któréj wizerunek wymalowany był na murze frontowym kościółka z podpisem: „Pod Twoję obronę uciekamy się święta Boża Rodzicielko!“

Na ten kościółek lubiła Zuzanna patrzéć całemi godzinami. Doznawała przyjemnego, pobożnego wzruszenia, patrząc na te wązkie okna cel klasztornych,

z których wyglądając niegdyś na cichy, ustronny świat, pobożny Miechowita używał lubéj słodyczy życia kontemplacyjnego. Tam z tamtéj wieżyczki brzmiał niegdyś śrébrny dzwonek na „Ave Maria“ i zdawało się jéj, że słyszy chór mnichów, śpiéwających na cześć Przeczystéj Panny!... I przychodziły jéj na pamięć opowiadanie staruszka, który tłumaczył jéj zwyczaj katolicki dzwonienia na Anioł Pański i o jego powstaniu prześliczne opowiadał rzeczy... „W gorącéj, czarodziejskiéj krainie, pośród gaju pomarańcz i cyprysów, bieleje klasztor św. Franciszka. Na krużganek kościoła wyszedł blady mnich w grubéj odzieży, iżby wieczorem odmówić modlitwę. I wzniósł ręce ku niebu i wymówił piérwsze dwa słowa modlitwy. W tém jakiś miły dźwięk zaleciał do jego uszu. Spojrzał w dolinę ubraną w kwiat pomarańczy, z któréj wznosiła się woń jak z kadzielnicy świątecznéj. A tam w dolinie, pod oknami białéj chatki śpiéwa młody trubadur swojéj ulubionéj piosnkę miłości... Z okienka wychyla się piękna dziéwczyna, a pieśń trubadura ustaje, milknie: ich usta zbliżają się do siebie... Reszta pieśni sączy się w serce długim, gorącym pocałunkiem... Palące słońce zachodzi za mgły wieczorne, z pod każdéj chatki słychać pieśń miłosną, a każda ustaje na ustach pięknéj, młodéj dziewicy... Bo o téj godzinie zwyczajem kraju każdy kochanek żegna piosenką swoję wybraną, aby ją znowu ze wschodem słońca piosenką przebudzić... I opuścił ręce mnich blady, słowa modlitwy zamarły na jego ustach... I przyszła mu na myśl jego cela samotna, te ponure, grobowe mury, ta wieczna, głucha cisza... A tam w dolinie brzmi znowu piosnka miłosna... Mnisi szukają brata i znajdują go na kruż-

ganku kościoła, z bladą twarzą, a płonącem okiem patrzącego w dolinę... „Bracia, rzecze do nich mnich blady, dla naszych serc potrzeba wielkiéj, gorącéj miłości. Miłość jest potrzebą ludzi, bez niéj niéma życia, tylko grób, wielki, zimny grób!...“ I zadrżał mnich, wskazując ręką ku dolinie, skąd było słychać piosnki trubadurów. Potrwożyli się zakonnicy, widząc w tych słowach pokusę czarta, i zaczęli odmawiać modlitwy... Wypogodziła się jednak twarz przełożonego zakonu, niebieska rozkosz strzeliła z jego oczu... „Bracia, rzekł z utkwionem w niebo wejrzeniem ojciec Bonawentura, nam potrzeba istotnie wielkiéj, gorącéj miłości!... Królowa niebios, przeczysta Panna, niech owładnie serca nasze! Śpiéwajmy jéj, niebiescy trubadurowie, rano i wieczór pieśn pozdrowienia i niech śpiéwa z nami każdy wierny, który jak my samotny jest na tym świecie, dla którego żadne ziemskie serce nie bije, niech śpiéwa każdy nieszczęśliwy wraz z nami: Ave Maria!“ I ozwał się dzwonek klasztorny, mnisi uklękli na krużganku kościelnym i odśpiéwali piérwsze Ave Maria, piérwsi trubadurowie Przeczystéj Panny Maryi!“

Wszystkie te szczegóły opowiadania staruszka stanęły teraz żywo przed oczyma Zuzanny. Ów mnich blady, pragnący miłości, ów trubadur młody, śpiéwający pod oknem cichéj, białéj chatki, owa piękna dziewica, chwytająca pieśń kochanka w swoje usta różowe, owi nieszczęśliwi, dla których żadne serce nie bije... wszystko przechodziło zwolna przed jéj duszą, grało w sercu jéj jakąś smutną melodyą. I zdawało się młodéj, pięknéj kobiécie, że jest jak ów mnich blady, patrzący w jakąś wonną, zaczarowaną dolinę... W sercu jéj obudziło się pragnienie nieodgadnione, słyszała ja-

kieś dziwne, niezrozumiałe pieśni, a przecież pieśni te chwytały za serce, wciskały się do duszy... Spojrzała w swoje życie... Było ono ciche i czyste jak to zwierciadło jeziora, ale jak te wody było smutne, jednostajne, przyćmione... Żadna silniejsza fala nie przeszła po niém; ciche było i spokojne jak każde poświęcenie.

A tam z ruin klasztornych wysuwają się złe duchy-psotniki, nurzają się w wodach jeziora i podnoszą je na barkach swoich. Fala za falą mknie już do brzegu, biała piana pryska do góry, a duchy-psotniki śmieją się, chichoczą i skaczą po wzburzoném jeziorze. I szepczą do ucha młodéj, pięknéj kobiéty: „Twoje życie smutne i nudne jak grobowce starych Dębiczów, a ty piękna lilio, więdniejesz, kryjesz twoję pierś białą przed rozkoszą, jakiéj jeszcze nie zaznałaś w życiu!“

I śmieją się i chichoczą duchy-psotniki, i coraz to inne rzeczy szepczą do ucha młodéj kobiéty, budząc w jéj sercu dziwne, nieznane uczucia: a na krużganku kościołka smutno i cicho, na rozwalonéj wieży głucho, nie ozwie się dzwonek na Ave Maria!... Wiedzą o tém dobrze duchy-psotniki i śmieją się w oknach wieży, kołysząc się na głuchych, nieruchomych dzwonach!...

— Otóż znalazłam cię, *ma chère*—ozwał się głos za altanką.

Zuzanna krzyknęła przestraszona.

— Przepraszam, jak najmocniéj przepraszam — rzekła margrabina — wystraszyłam cię z miłych snów, przyjemnych marzeń... Ach! co za prześliczny widok.

Mówiąc to, wyjęła szyldkretową lornetkę i nie troszcząc się wcale o przestraszoną Zuzannę, która jeszcze do siebie przyjść nie mogła, postąpiła kilkana-

ście kroków naprzód, na sam brzeg jeziora, przypatrując się ruinom kościółka.

— Ach! to może oczarować... Nigdy sobie tych ruin tak malowniczo nie wyobrażałam!... *Ma chère*, witam cię—rzekła do majorowéj, ściskając ją za rękę— i cieszę się, iż cię znajduję tak ładną i młodą jeszcze, jakbyś jutro dopiéro miała iść do ślubu...

— Pani zbyt łaskawa...

— Nie lubię mówić grzeczności — odpowiedziała z akcentem margrabina — a nawet i wtedy, gdy po długiém niewidzeniu się kogoś po raz piérwszy obaczę.

— A ci—mówiła Zuzanna z słodkim uśmiéchem— ci, którzy po długiém zaniedbaniu widzą się znowu zaszczyceni tak przyjemną wizytą, tyle w tém mają uciechy, iż byliby zdolni wszystkiemu uwierzyć, co się ładnego i dobrego im powié.

Margrabina ukłoniła się z wielką afektacyą, która jéj zdawała się już być wrodzoną, i rzekła:

— Już to, *ma chère*, nie powinnaś nam tego za złe wziąć, żeśmy was czas niejaki zaniedbali. Ach, na wielkim świecie jest się niewolnikiem różnych, tysiącznych fraszek, o których wy nie macie ani wyobrażenia *Cela me fatigue beaucoup*, i wierz mi, moja droga, żebym się szczęśliwszą czuła w waszym wiejskim, skromnym dworku, gdyby jeszcze można, pod strzechą słomianą, przy woni ruty i macierzanki... Wierz mi, to pokrzepia ciało i duszę... A tak muszę być zawsze, jak na deskach teatralnych... nudzą mię serdecznie, a ja z grzeczności uśmiéchać się muszę i wołać: „Ach, jakże to zabawne!...“ Tamtego roku byliśmy w stolicy, tamtego lata jeździliśmy do wód morskich, tę zimę

przesiedzieliśmy w Paryżu, a za to teraz skazani jesteśmy na całe lato, wyobraź sobie, na całe lato!... do Dąbczyna. Od zmysłów odchodzę, gdy sobie uprzytomnię, co za nudy będę musiała tutaj wycierpieć. Ja, przyzwyczajona co wieczora przyjmować liczne, dobrane towarzystwo, ja mam teraz jako codziennych gości tłustego proboszcza i naszego rządcę, którego wołamy na herbatę, aby mąż mój miał partyą! Przyznasz sama moja droga, że grzechem byłoby zaniedbywać najbliższych swoich sąsiadów, z którymi przecież pomówić można.

— Za wiele łaski wyświadczasz nam, pani — odpowiedziała Zuzanna, uśmiéchając się na tak otwarte wyznanie margrabiny, a wstawszy z ławki, poprosiła ją do salonu.

— Ach nie, moja droga, pozwól mi napoić moję zbolałą duszę tym przecudnym widokiem — rzekła margrabina, przykładając lornetkę do oczu — w życiu naszém tak mało chwil szczęśliwych, tak skąpo obdzielono nas prawdziwém szczęściem... Tylko złudzenia, rozczarowania i nadzieje!...

Zuzanna westchnęła; margrabina mówiła daléj:

— Te ruiny mają jakiś niepojęty urok; wpatrując się w nie, zdaje się, żeby można stać się zakonnicą. Dawno nie doznałam tak silnego wrażenia.

— Wszak znane od dawna pani te ruiny...

— O! tak, moje dziécię, znam je od dawna, znam dobrze. Ale dusza nasza ma to do siebie, iż coraz to inaczéj widzi te same nawet rzeczy. Zależy to od usposobienia. Pokaż kochankom najpiękniejszą okolicę, opowiadaj im najciekawsze rzeczy, oni nic widzieć, nic słyszéć nie będą. Ale niech serce zajdzie mgłą

smutku, niech oko powlecze łza zadumania, wtedy będziesz szukać owych pięknych, cichych widoków i poić się niemi będziesz bez końca... A nasze całe życie, jak inném wydaje się nam, gdy na nie patrzymy już z kraju! Gdzież owe złote barwy, które nęciły nas w zaraniu?!

Margrabina zrobiła ręką ruch gorączkowy, jakby z przed oczu chciała odpędzić jakieś mary niemiłych wspomnień.

Zuzanna podparła ręką głowę i zamyśliła się... Słowa margrabiny obudziły w jéj sercu jakąś smutną strunę.

— Tak, moja droga — ozwała się po chwili — w sercu człowieka nie jedna spoczywa ruina. Zrazu nie zważamy na nią; późniéj, gdy nam zawadza przy każdém uderzeniu serca jak mara wspomnień złowieszczych, okrywamy ją jak grób świéżą murawą, aby mieć nowe kwiaty, piękną, zieloną łąkę... A tymczasem nadchodzi czas smutku i bolu, wszystkie kwiaty więdną nam w ręku: przeszłość snem tylko. Nasze lica przedstawiają obraz burzy, zastygłéj nagle na powierzchni wody. Wtedy rozkopujemy mogiłę wspomnień naszych, dobywamy zarosłą chwastami ruinę i w braku innéj świątyni klękamy przed nią i modlimy się do własnych grzechów naszych, bo one tylko przypominają nam, żeśmy chwil kilka byli szczęśliwymi na ziemi!...

Zuzanna zadrżała; dziwna filozofia margrabiny drasnęła ją boleśnie.

— Grzéchem, grzéchem?... Nie, nie, nigdy. To świat tak nazywa, a ja mówię tylko jego językiem. O, świat jest okrutny dla nas!... Ten świat... Kobiécie

nic nie wolno: jéj nie wolno iść za popędem serca, ona musi stać na miejscu, na które rzucił ją przypadek, stać nieruchomie jak piękny, marmurowy posąg, póki nie zbliży się do niéj jakiś mężczyzna, nie weźmie jéj i nie ozdobi nią salonu swego domu. Odtąd twemu towarzyszowi wolno wszystko, a tobie nic, nic... Twoje życie ma być pokutą, pokutą za wszystkie twoje marzenia, za twoje piękne i wzniosłe ideały!... O, Georges Sand! ty wielki kobiécy geniuszu!...

— Zakres kobiéty jest wprawdzie szczupły i ograniczony—zabrała głos Zuzanna...

— Szczupły i ograniczony? — przerwała margrabina, a jéj twarz okryta zmarszczkami, zajaśniała gorączkowym rumieńcem — któż go uszczuplił i ograniczył? Czyż Ten, co wlał w serce kobiéce ogień nieugaszony, ogień, który ją rwie do duszy pokrewnéj, prowadzi do poświęceń, a nawet do grobu?... Morzu nadano brzeg skalisty i powiedziano mu: „Dotąd, a nie daléj!“ Któż podobne słowa rzekł kiedy do kobiéty?...

— Morze ma za granicę brzeg skalisty — rzekła Zuzanna—a granicę kobiéty stanowią jéj obowiązki!

— Obowiązki! Daruj mi, droga, ale to sentencya z konwiktu klasztornego. Zielone, wyschłe mniszki, patrząc na życie okiem żółciowém, fabrykują podobne sentencye i karmią niemi biédne trusiątka. Życie to wcale co innego... Przyłóż ucho do serca, a ono ci powié, iż obowiązki nie są wszystkiém dla kobiéty. Obowiązki zaczynają się tam, gdzie uczucie umiéra. Na przykład, wyobraź sobie, czyż byłby w tém sens jaki, gdybyś była dobrą żoną z *obowiązku*, czułą matką z *obowiązku*, miłosierną dla bliźnich z *obowiązku?* Czyż

znaczyłoby to, co kochać męża, dzieci i bliźnich? Po cóż ta hipokryzya?

Zuzanna spuściła oczy w ziemię, serce jéj było w téj chwili wymowniejsze od niéj... Przycisnęła je ręką, jakby się lękała jego najmocniejszych uderzeń...

— Obowiązki nasze—rzekła po chwili — zaczynają się od chwili naszego poświęcenia się...

Margrabina roześmiała się z cierpką ironią.

— Dziecko jeszcze jesteś, zazdroszczę ci twego serca. Gdybym była mężczyzną, leżałabym już u twoich stóp, błagając wzajemności. Byłabyś wyborną kochanką. Ta walka między sercem a obowiązkami, te łzy, spazmy omdlenia, wszystko to byłoby nieoszacowanem dla mężczyzny!...

— Nie rozumiem pani — rzekła Zuzanna z godnością.

— Jesteś kobiétą, a nie znasz sama siebie?

— Jakto?

— Bo kobiéta nigdy nie poświęca się!

— Nie poświęca się? — zawołała Zuzanna, cudownie piękna w zapale swojéj dumy.

Margrabina potrząsła głową zamiast wszelkiéj odpowiedzi.

— A jeśli kobiéta dla miłości bliźniego zrzeknie się bogactwa, dostatków...

— To się zrzeka tego, czego nie ceni. Miłość jest dla niéj rozkoszą, a poświęcenie powinno być bolem.

— A jeśli kobiéta wyrzeka się swojéj miłości dla drugiéj, z którą jéj kochanek szczęśliwszym być może?

— To czyni głupstwo.

— A jeśli do kobiéty przyjdzie człowiek godny wszelkiéj czci i szacunku, człowiek, który w życiu swojém dowiódł wzniosłéj, czystéj duszy, co szczyci się pięknemi czynami... Jeśli taki człowiek, dajmy na to, już w sędziwym wieku zbliży się do kobiéty...

— To niech go w rękę pocałuje.

— A jeśli on żąda—mówiła daléj Zuzanna drżącym głosem—w nagrodę swoich czynów i trudów, jeśli żąda od niéj ręki i serca, a ona mu je odda, aby w późnéj zimie jego życia być mu słońcem majowém...

— Robi głupstwo, wierutne głupstwo!—odparła krótko i sucho margrabina.

— Więc to nie poświęcenie się?— krzyknęła Zuzanna, chwytając się za serce, aby zeń nie uleciała myśl ukojenia.

— Posłuchaj mnie, moje dziécię. Poświęcić się można, ale po dokonaném poświęceniu nie trzeba żyć... Poświęcenie jest aktem jednéj chwili, a ta chwila powinna zniszczyć całą naszę istotę. Można ponieść śmierć, to rozumiem, ale oddać całe życie na długą, dobrowolną torturę, tego i święci nie praktykowali! To szaleństwo!

Zuzanna zwiesiła głowę i zamyśliła się...

— Całém szczęściem kobiéty—mówiła daléj margrabina—jest uczucie. Uczucie nie lubi żadnych granic, lepiéj je zmieniać, niżeli ograniczać. Można miéć pasyą do psów, kotów, kanarków, można miéć pasyą do dobrych uczynków, a nawet do nabożeństwa, ale nie można nigdy téj pasyi sobie wybiérać. Trzeba ją brać, jak przyjdzie. Kobiéta, która się wyrzeka wzruszeń, przestaje żyć, jest mumią.

Zuzanna patrzyła na ruiny klasztoru; przed oczyma jéj biegały jakieś dziwne, potworne gady.

— Jabym już dawno była umarła—ciągnęła margrabina—gdybym chciała memu sercu narzucić więzy. Wyobraź sobie moje położenie. Miałam lat nie spełna dwadzieścia, gdym poszła za mąż... Mój mąż był więcéj jak dwa razy starszy odemnie, ale stosunki familijne i towarzyskie kazały mi oddać mu rękę. Ty nazwałabyś to poświęceniem! O, mój kochany, najdroższy mój Achil, nie pragnął odemnie tego męczeństwa.

— I pani byłaś szczęśliwą?

— Ach! byłam szczęśliwą i jesteśmy dotąd szczęśliwi, jak niewielu z śmiertelnych — odparła żywo z gorączkowym gestem margrabina—ale wyobraź sobie, co się w rok po ślubie naszym wydarza!

— Zapewne jakie nieszczęście domowe?

— Byliśmy na wieczorze u księcia ambasadora... Różni członkowie dyplomacyi przychodzili do mnie i mówili mi mnóstwo grzeczności. Byłam wtedy młodą i jak mi się zdaje, dosyć piękną. Najdłużéj rozmawiał ze mną sekretarz ambasady, Francuz z rodu. Był to nadzwyczaj przyjemny i przystojny mężczyzna. *O! mon cher Arthur*!...

Margrabina przestała mówić. Z jéj oczu puściły się łzy...

— I zapewne mąż pani dowiedziawszy się o tém, zmartwił się... — naiwnie dorzuciła Zuzanna.

Margrabina zaprzeczyła głową, a otarłszy łzy, mówiła daléj z wyrazem boleści na twarzy:

— Jest to najboleśniejsze wspomnienie w mojém życiu. Nigdy nie zwykłam go odgrzebywać, od kilku dni jednak myślę o niém nieprzerwanie. Zrobiłam

sobie bowiem plan ułożenia pamiętników „*confessions d'une femme*," w których chcę złożyć wszystkie łzy i boleści kobiéty, wszystkie jéj sny i roskosze!

— Będzie to książka zajmująca... A cóż mąż pani, gdy się dowiedział...

— Mój mąż długi czas o niczém nie wiedział, przynajmniéj nic mi o tém nie mówił. Schadzaliśmy się często z Arturem i byliśmy szczęśliwi! Oh! szczęśliwi!... W tém on odjeżdża do Paryża, a ja biédna, zrozpaczona, widzę przed sobą tylko śmierć i grób!...

— A mąż pani?

— Położyłam się do łóżka, blada i spłakana, stan mego zdrowia stawał się z każdym dniem niebezpieczniejszy. I tak trwały tygodnie i miesiące. Wreszcie zażądałam spowiednika. Mój mąż usiadł przy mnie na łóżku, pieścił się moją słabą, zżółkłą ręką i rzekł do mnie: „Hermino, wstrzymaj się jeszcze ze spowiedzią, może przyjdziesz do zdrowia. Gdy wstaniesz z łóżka, pojedziemy do Paryża, a tam odzyskasz zdrowie i siły." Mówiąc to, pocałował mnie serdecznie w czoło. Słowa jego pocieszające takie sprawiły na mnie wrażenie, żeśmy za kilka tygodni wyjechali już do Paryża. Na piérwszy obiad, który jedliśmy w Paryżu, zaprosił mój mąż Artura—i zaklinał go, aby był naszym codziennym gościem — naiwnie dorzuciła. — O, mój kochany, najdroższy Achil! Nie uwierzysz, z jaką namiętnością pokochałam go za to!

— A biédny Artur?

— Artur był codziennym naszym gościem—i byliśmy znowu szczęśliwi, jak niegdyś!...

— Mąż pani?...

— Mąż mój cieszył się moim szczęściem i każdą przysługą nam wyświadczoną, przywiązywał mnie więcéj do siebie. Nazywał mnie *l'enfant gatée*, które się cackiem bawić musi, i całował mi ręce i pieścił się ze mną, a jam go téż nigdy goręcéj nie kochała, jak wtedy... Wówczas byłabym w stanie poświęcić się za niego, oddać życie moje!

Zuzanna spojrzała na mówiącą, aby się przekonać, czy z niéj nie szydzi; ale na twarzy margrabiny malowało się tak żywe wzruszenie, z jéj oczu płynęły łzy, usta drżały i całą jéj postać wstrząsały od czasu do czasu tak gwałtowne, gorączkowe ruchy, iż mimowolnie musiała w szczérość jéj słów uwierzyć. Margrabina należała do owych istot gorączkowych i wrażliwych, które są wstanie, pociąwszy siebie na niezliczone atomy, żyć całém życiem w każdym atomie i wierzyć w to dziwne, w najdrobniejsze czerepy roztłuczone życie.

Nastąpiło długie milczenie. Zuzanna dziwiła się tak otwartéj spowiedzi margrabiny, która ją w niemały kłopot wprawiła. Jako kobiéta tkliwa czuła litość dla nieszczęśliwéj, a wyobrażenia jéj nie pozwalały okazać współczucia dla błędów serca. Czekała sposobniejszéj chwili do podjęcia rozmowy. Otarłszy łzy z oczu, mówiła daléj margrabina:

— Dzisiaj mój Artur w grobie, w zimnym grobie!...

Zasłoniła twarz chustką i poczęła łkać jak dziécię. Zuzanna nie wiedziała, co począć. Z niepokojem p trzyła na nią... Wreszcie margrabina odjęła chustkę od twarzy, otworzyła oczy i poprawiła włosy. Była tak spokojna, tyle pogody miała na twarzy, pogody ci-

chéj, melancholijnéj, iż podziwiać należało tę sprężystość duszy, która po największéj burzy zdołała wrócić do pokoju i owładnąć sama siebie.

Zupełnie spokojnym, dźwięcznym głosem odezwała się teraz:

— Dajmy pokój wspomnieniom... Muszę sobie w albumie odrysować tę ruinę, bo trzeba ci wiedzieć, moja droga, iż teraz mam pasyą zbiérania albumów z różnemi widokami. Mówiłam ci, że kobiéta powinna miéć zawsze pewną namiętność w życiu. Ja maluję i rysuję, a ty, moja droga, czém się zajmujesz?

— Bardzo pragnęłam teraz jakiego zajęcia—odpowiedziała Zuzanna, zbliżona współczuciem do margrabiny.—Jakaś czczość, okropna czczość opanowała moję duszę.

— Aha! stan przechodowy serca do innéj pasyi—wtrąciła margrabina. — I jakież zajęcie wybrałaś sobie?

— W Radziejewie zrestaurowaliśmy szpital wiejski. Marzyłam o tém, że będę tam codzień chodziła, będę pielęgnowała chorych, stanę się ich opiekunką, matką!...

— Ah! Toś wybrała za prędko. Jest to ostatnia namiętność kobiéty!...

— Ale wszystko to napróżno. Nikt nie chciał we wsi korzystać z naszych dobrych chęci! Dzisiaj nie wiém, czém wypełnię tę próżnię mego serca, bo szczérze mówiąc pomimo wszelkiéj pracy i krzątania się, czuję, iż mi czegoś innego koniecznie do życia potrzeba!

— Prędzéj, czy późniéj obudza się to pragnienie

w naszém sercu. Trzeba mu samemu zostawić wybór przedmiotu, do którego przylgnie i ukoi się...

— Daj Boże! — rzekła Zuzanna, myśląc o pięknych, dobrych uczynkach.

— Przedewszystkiém—zaczęła znowu margrabina—potrzeba ci rozrywki. W twoim domu sami starzy, tyś jedna młoda między nimi. Oni nie pojmują, czego potrzeba dla serca młodéj kobiéty. U nich lada fraszka grzechem. Przyjeżdżaj często do nas, a tak przepędzimy to nieznośne lato.

Zuzanna podziękowała za łaskę margrabiny; serce jéj coraz więcéj przywiązywało się do nieszczęśliwéj, egzaltowanéj kobiéty.

— Nadto — mówiła daléj margrabina — nie będziemy tego roku sami. Będziemy mieli gościa, który godzien jest studyów?

— Studyów?—zapytała ciekawie młoda kobiéta i zarumieniła się, nie wiedząc wcale przyczyny.

— Tak jest, studyów. Wyobraź sobie, młody, przystojny człowiek, znakomitego rodu, z jakiémś nieodgadnionem pragnieniem w sercu, które mu cały świat zasłania... Zapatruje się on na świat okiem Byrona, a przecież widać, iż całe życie jeszcze przed nim... Człowiek ten przebiegł prawie cały świat i szuka czegoś, czego jeszcze sformułować nie może... Na pozór zimny i obojętny, a kto go bliżéj pozna, ujrzy duszę gorącą, namiętną... Poznaliśmy go w Paryżu.

— Radabym go poznać — szepnęła z cicha Zuzanna.

— Jedynym jego towarzyszem jest stary, milczący kozak, od którego nic nie można się dowiedzieć.

— Może jaka tajemnica familijna.

— Jest i to; ktoś z jego przodków, chcąc się zasłużyć ojczyźnie, wyprzedał się w spokojnéj ziemi sandomiérskiéj i poszedł na Ukrainę na tak zwane *kresy*. Tam walczył ustawicznie z Hajdamakami, broniąc ziemi i sławy polskiéj. Umiérając, przekazał wszystkim swoim potomkom pod karą przekleństwa, aby wprzód w związek małżeński nie wchodzili, póki każdy ż nich nie uczyni jakiéj szczęśliwéj wyprawy na kresach ojczyzny.

— I to przekleństwo?

— To przekleństwo ma ciężyć na potomkach. Hrabia Leon sam ci to kiedy opowié...

Zuzanna spojrzała na wody jeziora, a na jéj ciemném tle zdawała się rysować jakaś dziwna, fantastyczna postać...

W tém ozwał się w dali dzwonek na pozdrowienie anielskie... Za altanką słychać było turkot krzesła i głos staruszka, odmawiającego głośno: Ave Maria!...

III.

Właśnie wybiła siódma na wieży zamkowéj, gdy karéta margrabiny wtłoczyła się na dziedziniec zamku. W tymże samym czasie wychodził Jerzy z małego domku przy ulicy zamkowéj, spiesząc do swego mieszkania, zkąd miał się udać na wieczór do zamku.

Domek, z którego Jerzy właśnie wychodził, była to licha, drewniana klatka, nakryta ogromnym, szpiczastym dachem. Snać ciężko było ścianom pod tym olbrzymim parasolem, który, mówiąc prawdę, nie osłaniał ich ani od słońca, ani deszczu, bo się powyginały i pokurczyły na wszystkie strony. Mianowicie dwa słupki, co niegdyś miały tworzyć ganeczek, tak się przygięły środkiem do siebie, iż miały podobieństwo do krzywych nóg kowala, o których mówią, iż w skutek ciężaru młota koniecznie do środka wygiąć się muszą.

Na domku tym, pomiędzy temi słupkami u góry wisiała duża tablica, na któréj wyobrażoną była jedném olbrzymiém okiem Opatrzność boska, a pod nią świécił napis żółto-brunatny: „Mateusz Wojna, zégarmistrz miejski.“ Na zielonéj okiennicy, którą czas i jakieś inne, domowe niepowodzenia nieco z zawiasów zwich-

nęły, wymalowana była wielka forteca z różnemi krużgankami i basztami, a w samym środku, zamiast bramy, bielił się również olbrzymich rozmiarów cyferblat, z dużemi, rzymskiemi liczbami, wskazujący godzinę dwunastą. Po obu bokach téj ogromnéj, białéj kuli stało dwóch francuzkich, sześciocalowych grenadyerów na straży z rusznicą w ręku, podczas gdy unoszący się nad fortecą Saturn pomimo wszelkiéj czujności straży, zdawał się posuwać indeks czasu drzewcem olbrzymiéj swojéj kosy.

Zaiste, był to wzruszający symbol czasu, który pędzi mimo wielkiéj naszéj czynności, a którego smutne ślady widać było na tym małym drewnianym domku. Zdawało się, iż właściciel téj budowy chciał na gwałt powstrzymać czas w swoim pędzie, podpiérał i lepił starą klatkę, podczas gdy obok niego wznosiły się piękne murowane domki, czerwoną pokryte dachówką. Ale złośliwy Saturn machał nieustannie kosą pod niskie, pokrzywione ściany, zdziérał wapno i glinę, a Opatrzność boska patrzyła suchém okiem na wiecznie zamknięte drzwi biédnego mieszczanina...

Wewnątrz domku było smutno i cicho. Nie słychać ani krzyku dziecka, ani wesołéj dziéwczyny, ani zrzędzenia gospodyni. Tylko kilkadziesiąt starych zégarków rozmawiało dniem i nocą pomiędzy sobą, kilkanaście kukułek kukało co godzina głosem smutnym, jednostajnym i znowu ponura zalegała cisza...

Tak wydawało się obcemu mieszkanie zégarmistrza Wojny. On zaś widział w niém i słyszał wcale co innego. Dla niego żyło wszystko w tych smutnych i cichych izdebkach. Ten krótki, széroki, wiecznie térkoczący i skrzypiący zégar z nieznośną piszczałką, co

pięć minut poświstujący, to... jego ukochana Basia. Nazwał go tém imieniem na cześć nieboszczki swojéj małżonki. Biédny zégarmistrz często wspomina o niéj, a czasem nawet zawiesi się biała łza na znużonéj jego powiece... bo umarłym pamiętają się tylko dobre ich uczynki. A tamten pyzaty, okrągły zégar, z wieńcem kwiatów u dołu cyferblatu, to burmistrz z Dąbczyna. Ma on być regulatorem całéj plebejuszowskiéj kokorty, ale w istocie bałamuci ją nieustannie i przez niezrozumiałe swoje liczby arabskie sprawia nie małe zamięszanie. Sąsiad jego, z kukułką na czole, często pokazuje fałszywe godziny, a gdy mu stary zégarmistrz w dobry sposób to przygania, skrobiąc pilnikiem po zepsutym jego żołądku, nieszczęśliwy pacyent woła w niebogłosy, iż jest zdrów zupełnie i że go tylko burmistrz niezrozumiałém pismem swojém bałamuci. Słowem, wszystkie pamiątki życia swego ma tutaj sędziwy Mateusz; jest i ekonom z Radziejewa Mietlica, jest i szalony Paliwoda, który na dobę dziesięć godzin więcéj ubieży, a dla którego już niéma ratunku w całym warsztacie zégarmistrza. Jest wreszcie i kilku złośliwych, bezbożnych sąsiadów, którym codziennie gada „Paternoster,“ przypisując im wszystko złe, co go kiedykolwiek spokało.

I tak spokojnie i cicho żyje tutaj śród wspomnień swoich mieszczanin o trójgraniastéj czapce. Drzwi jego rzadko się otwiérają, mało zarobku wpływa do jego kieszeni, ale on nie dba o to, bo umié żyć prawie niczém. Jeden tylko widok z okna jego domku martwi go i niepokoi. Jest to piękny, okazały sklep z zabawkami dla dzieci. Właściciel tego sklepu to wielki jego nieprzyjaciel. Wybudował sobie piękny domek z cegły,

wyzłocił ramy u drzwi sklepowych i złotemi literami napisał nad sklepem imię swoje; jest przytem niżki i tłusty, nosi okrągłą czapeczkę z aksamitu na głowie i każdym razem głaszcze się po brzuchu z uśmiéchem szyderskim, gdy Wojna przed jego sklepem przechodzi w długiéj granatowéj czamarze i w czapce trójgraniastéj. Wojna nigdy z nim nie mówił, a jednak znieść go nie może, jakby mu coś najgorszego był uczynił. Jego uśmiéch szyderczy, jego brzuch tłusty i okrągła aksamitna czapeczka, zasłaniają zda się staremu zégarmistrzowi cały świat boży. Już mu wtedy wszystkie zégary wydają się podobne do jego nieprzyjaciela, a nawet burmistrz z arabskiemi liczbami na twarzy śmieje się szyderczo i ogromném wahadłem głaszcze się po tłustym brzuchu...

Na wieży zamkowéj wybiła siódma. Wojna spojrzał na burmistrza — nie dostawało mu jeszcze kilku minut. Smutno potrząsnął głową i wyjrzał oknem na zamek.

— Starowina coś znowu śpieszy — rzekł do siebie — żeby tylko nie była to przedśmiertna gorączka...

I właśnie chciał się oddać smutnym medytacyom, które co wieczora zwykły go nagabywać i w tym celu bezmyślnie spojrzał na ulicę, gdy naprzeciwko we drzwiach sklepu ukazał się jego nieprzyjaciel, uśmiéchnął się szydersko i kazał chłopcu sklep zamknąć. Wojna odskoczył od okna, a cofając się w głąb izdebki, przypomniał sobie nagle, iż ważne ma na głowie rzeczy. Dopiéro co wyszedł od niego Jerzy, długo naradzając się nad ważnym jakimś przedmiotem.

Wreszcie wziął czapkę trójgraniastą, kilka narzędzi swego kunsztu włożył w mały, skórzany worek, kilka par okularów schował w zanadrze, a nakręciwszy zégary, chciał właśnie wyjść z izdebki, gdy burmistrz nagle dał sygnał, iż wkrótce bić będzie. Wrócił więc pan Mateusz do izdebki i stanął na środku, jak dziadek pośród wnucząt. Za chwilę odezwał się burmistrz; jego sąsiad dmuchnął w gardło kukułki, stary ekonom recytował bez zająknienia, a Paliwoda pozwolił sobie na pożegnanie wybić trzydzieści razy, przez co ukochanéj Basi słychać nie było. Ale ucho Wojny słyszało wszystkich z osobna, jego serce zrozumiało ich głosy pożegnania.

Prędko otworzył drzwi i wybiegł do sieni. Zamknąwszy dom cały, wyszedł na ulicę, a jeszcze słyszał szalonego Paliwodę, który właśnie trzydziesty raz w dzwonek uderzył.

— Poczciwe chłopisko—pomyślał sobie i właśnie chciał coś jeszcze mruknąć, gdy przechodząc koło sklepu swojego nieprzyjaciela, ucieszył się niewymownie widokiem drzwi sklepu zamkniętych. Śmiało więc spojrzał przed siebie, lecz w sieni białego domku stał jego nieprzyjaciel, w okrągłéj, aksamitnéj czapeczce na głowie, uśmiéchając się szyderczo i głaskając po tłustym brzuchu...

— A kysz dyable, kysz!—krzyknął Wojna, zasunął czapkę na uszy i nie obejrzał się, aż na granicznym kopcu Dąbczyna i Radziejewa.

Na granicznym kopcu stał stary ekonom i czekał na przyjaciela.

— Pochwalony! — zawołał do mieszczanina, skulonego we dwoje.

— Na wieki wieków! — odpowiedział Wojna—to wy, Jakubie? Już szaro, a człowiek wtedy jak ślepy. Właśnie idę do was po radę.

— I jakże stanęło?—zapytał ekonom.

— Nad tém stanęło, że Link musiał wziąść tę szkatułkę.

— We wsi nigdzie jéj niéma... Pytałem wszędzie.

— Trzeba iść za Linkiem.

— A Bóg wié, kiéj biéda polazła.

— Pan Jerzy mówi, że najlepiéj dowiedzieć się o nim u Warnera.

— Sześć mil drogi i kraj niemiecki!

— Cóż zrobić! moja to wina, Jakubie, bom powinien był ostrożniéj obchodzić się z powierzoną rzeczą.

— Nieszczęście nie chodzi po lasach... Widu, Widu! — zawołał ekonom na czarnego kudłatego psa, który biegnąc po grobli tam i napowrót oszczekiwał zawzięcie jakiegoś nieprzyjaciela, co według jego wyobrażenia miał być pomiędzy Mogiłami a Dąbczynem.

— Widu, Widu! — wołał ekonom, ale Widu nie słyszał swego pana, zaciekając się coraz więcéj w złości ku niewidomemu.

— Coś mi źle wróży na podróż! — westchnął zégarmistrz, patrząc na czarnego, kudłatego psa.

— To już taka natura—uspokoił go ekonom.

— Do tego dzisiaj przez całe popołudniu sąsiad mój stał we drzwiach swojego sklepu, patrzył się widocznie w moje okna i uśmiéchał szyderczo.

— To wam się tylko tak wydawało.

— A gdym wychodził z domu, schował się naumyślnie do siebie, aby mnie jeszcze więcéj dokuczyć.

— Wy coś cierpicie do niego.

— Nic mi nie zrobił, nigdy z nim ani słowa nie mówiłem, a jednak strach mnie bierze, gdy go obaczę.

— Przeżegnać się i kwita! Ja tak zawsze robię, gdy mi coś w drogę wlézie. A tymczasem pójdźcie na folwark, zjémy razem kawałek chleba na drogę.

Kilka chwil szli w milczeniu koło siebie obaj starzy przyjaciele. Widu powrócił z grobli, nie znalazłszy nigdzie nieprzyjaciela, a zwiesiwszy pysk do ziemi, mruczał nieukontentowany.

Wreszcie ozwał się zégarmistrz:

— Ciężko mi bardzo na sercu! Kilka dni zabawię w podróży, a nikogo w domu przez ten czas nie będzie. Przecież to smutno człowiekowi samemu na świecie. Ani żony, ani dziecka, nikt wiedzieć nie będzie, kiedy zamknę powieki.

— No, dobra żona, to już nie żal człowiekowi — rzekł stary ekonom — ale gdy już kogo Pan Bóg ukarze.....

I posmutniał stary wachmistrz, a wyjąwszy krótką fajeczkę, zapalił sobie ku lepszéj fantazyi.

— Nie będzie komu zégarów nakręcać! — mówił daléj zégarmistrz. — Basia zaśnie, a burmistrz położy swe wagi na ziemi i ani się ruszy!

— Mogę dochodzić co noc do Dąbczyna i zégary ponakręcać. W dzień mam wiele roboty.

— A co tymczasem starowina na wieży ze sobą zrobi, to już tylko Bogu wiadomo!

— I tam mógłbym pójść, gdybym miał klucze.

— Nie, nie — odparł żywo mieszczanin — tam nikt iść nie może, nikt iść nie powinien... Rozumiécie, Jakóbie, ja jestem zazdrosny, zazdrosny

jestem, bo to mój skarb jedyny, to arcydzieło mego dziada.

Ekonom na to wydmuchnął kilka kłębów dymu i tak w milczeniu postępowali daléj prostą drogą ku folwarkowi w Radziejewie.

Przechodząc koło karczmy, usłyszeli gwar wielki i krzyk jakiś niezrozumiały. Mnóstwo wiejskich dzieci otoczyło budynek i krzyczało na wyścigi.

— Kaszeba! Kaszeba!

— A tam do kata! — krzyknął groźnie ekonom, któremu chociaż nie *de jure*. to przynajmniéj *de facto* szło o porządek i pokój w Radziejewie; ale dzieci jednak śmiały się, a pokazując palcami, wołały na całe gardło:

— Kaszeba! Kaszeba!

To słowo Kaszeba było według ich wyobrażenia obelżywém przezwiskiem człowieka, który się zcudzoziemczy.

Stary ekonom przedarł się przez tłum stojących widzów. Zmiérzch wszakże już był gruby i z daleka nie można było nic rozpoznać.

W samym środku ciekawych stał mężczyzna z chłopska ubrany w długiéj, zielonéj kapocie. Mógł liczyć lat pięćdziesiąt. Włosy miał długie, twarz łagodną, smutną, a w oczach łzy mu świéciły. Na ramieniu niósł wypakowany jakimś rupieciem worek, a w ręku trzymał kilka zabawek dziécięcych, pomalowanych w jaskrawe barwy.

— Kaszeba! Kaszeba! – wołały dzieci, szarpiąc go za worek i poły zielonéj kapoty. Biédny podróżny obracał się na wszystkie strony i prawie ze łzami prosił, iżby mu dali pokój, zapewniając właściwym sobie

akcentem polskiego języka, iż jest taki sam jak ont katolik.

— Cicho do sta... — krzyknął ekonom głosem dawnego wachmistrza — i zrobiło się cicho i pusto; kilku tylko włościan zostało na placu.

— Coś za człowiek, dokąd i zkąd?—zapytał podróżnego ekonom.

— Ja jestem, mój *Panje*, *Kaszeba*.

— Co to za *Kaszeba?* — szepnął półgłosem ekonom do Wojny, wstydząc się swojéj niewiadomości.

— To Kaszub od Gdańska — rzekł Wojna—dawniéj z polskiéj ziemi.

Ekonom zmierzył okiem podróżnego, spoczął dłużéj nieco na jego ładnéj, poczciwéj twarzy, i już łagodniejszym zapytał go głosem:

— I gdzież idziecie?

— O tak, przyszedłem do was — odpowiedział Kaszub—bo u nas źle mi było.

— Tam do kata — mruknął ekonom — to jakiś poczciwy człowiek; wartoby go przyjąć, może umié jakie rzemiosło.

— A dlaczegóż wam źle u was? — rzekł głośniéj do Kaszuba.

— Oj, *Panje miłościwy*, to dużo mówić o tém...

— Weźcie go na folwark — szepnął ekonomowi Wojna do ucha — niech zjé wieczerzę i niech nam co opowié.

Ekonom poskrobał się w głowę, pomedytował trochę, a odkrząknąwszy głośno na znak powziętéj rezolucyi, rzekł do Kaszuba:

— Pójdźcie ze mną, zjécie co Bóg dał i spoczniecie po drodze.

Kaszub skłonił się nizko, przerzucił worek na drugie ramię i puścił się drogą za swoim dobrodziejem.

Do folwarku był spory kawał drogi, a stary ekonom zanadto był ciekawy i gadatliwy, aby tak długie wytrzymać milczenie. Nałożywszy fajeczkę, skrzesał ognia, w czém od lat pięćdziesięciu niewymowną posiadał praktykę, odrzucając wszelkie wynalazki fosforu i gazu; a gdy już dym gęsty jak z komina począł buchać z rogowego cybuszka, odkrząknął i rzekł do Kaszuba:

— To daleko ztąd te Kaszuby?

— Oj daleko, *panje miłościwy*, dziesięć dni idę — odparł Kaszub.

— To gdzieś aż za morzem?—wtrącił ekonom, niewiele biegły w geograficznych wiadomościach.

— Nad samém morzem—odpowiedział Kaszub—tak jak Dancig.

— Gdańsk, Gdańsk!—poprawił Wojna.

— Dawniéj mówiliśmy Gdańsk, a teraz już tylko Dancig.

— Tam do kata...—mruknął ekonom—a wy co za jedni, Szlązaki, czy co?

— Nie, *panje miłościwy*, my nie Szlązaki, my Kaszubi.

— A jakże mówicie?

— Tak po wsiach między sobą mówimy po polsku.

— A msza jaka?

— W kościele śpiéwamy po niemiecku i na weselu...

— A kiedyż po polsku?

— Po polsku, *miłościwy panje*, śpiewamy tylko przy *zargu*.

— Przy *zargu*, co to jest *zargu?*

— To jest, jak człowieka do grobu chowają.

Wojna machnął ręką, nasunął czapkę na uszy i podwoił kroku. Coś mu nagle humor popsuło... Zapewne wspomniał o biédnym starowinie na wieży zamkowéj, który za kilka dni wszystkich mieszkańców zamku pobałamuci, ubiegłszy godzinę lub dwie więcéj na dobę, jakby się mu należało. A może wspomnienie burmistrza o różowych faworytach drasnęło boleśnie jego serce, a może ukochana Basia, szalony Paliwoda... Dość, że Wojna był w złym humorze i nie radby więcéj słuchać opowiadania Kaszuba. Ale ekonom dopiéro się rozciekawił, słysząc o ludziach, którzy tylko przy pogrzebie po polsku śpiéwają...

— A jakież tam miasta wasze? — zapytał z rosnącą coraz więcéj ciekawością.

— W miastach mówią wszyscy po niemiecku, *miłościwy panje!* A kto ze wsi pójdzie do miasta i tam kilka lat przesłuży, już go swoi na wsi nie rozumiéją, a nawet inaczéj się nazwie, jak mu było imię.

— Jak to inaczéj? — zagadnął stary wachmistrz, którego nieraz to gniéwało, że się nazywa Mietlica.

— Oj! to właśnie jest, co mnie z domu wypędziło!...

Ekonom wydmuchnął chmurę dymu, odgiął kołniérz, który mu nieco ucho zasłaniał i przygotował się do słuchania jakby do jakiéjś smacznéj potrawy. Nawet Wojna zwolnił kroku i ciekawie zmierzył Kaszuba.

— Nasz ojciec—zaczął Kaszub — gdy poszedł do *zargu*, zostawił grunt i dwóch synów, mnie i Jantka. A nazywamy się po przezwisku *Grzanka*. Otóż Jantek powiedział do mnie, gdyśmy przyszli od *zargu*: „Słuchaj bracie... Ja starszy, mnie należy się grunt... Ale gospodarstwo nie do smaku mi... Ja wolę pójść do miasta, a ty tymczasem rób na gruncie.“ — Zgodziłem się na to, choć miałem w ręku inny zarobek.

— Jaki zarobek? — zapytał ekonom, chcąc miéć dokładną historyą Kaszuba.

— Ot taki—odowiedział Kaszub, pokazując kilka zabawek dziécięcych, które niósł w ręku. — Gdym był mały, nauczyłem się robić z drzewa różne takie rzeczy, a kupiec z miasta kupuje co roku u mnie tego wiela.

Ekonom spojrzał na zabawki, które mu Kaszub pokazywał, a że już ciemno było i nic obaczyć nie mógł, ograniczył się tylko na dokładném obmacaniu jakiéjś olbrzymiéj ropuchy, która za pociśnięciem mieszka wydała z siebie głos przerażający.

— Tam do kata! — mruknął stary wachmistrz— i w wojsku nie służył, a ma spryt djabli. Ktoby to pomyślał! chłop, i do tego Kaszub, który tylko przy pogrzebie po polsku śpiéwa...

— Otóż mając taki zarobek — mówił daléj Kaszub—nie dbałem o grunt, ale że mój brat chciał iść do miasta, więc zostałem i pracowałem. Dwadzieścia lat nie było nic słychać o Jantku. Mówiono tylko, iż był w wojsku, a potém służył gdzieś w mieście za stróża. Dopiéro tego roku przyszedł do dom... Przyprowadził ze sobą żonkę i syna, który ma lat szesnaście. Coś do mnie zaczął mówić, ale już go nie rozumiałem; tylko

piąte przez dziesiąte. A żony i jego syna to już wcale nic! Ci mówią wszystko po niemiecku, a on tylko co trzecie, co czwarte słowo.

— I dlatego rozeszliście się?

— A jeszcze nie dlatego. Ale on nazwał się „Butterbrod“ i tak ma w swoich pismach. A gdy się we wsi o tém dowiedzieli, to jakoś się stało, że jego syna zamiast „Butterbrod“ po ojcu, nazwali ludzie „Zwejbak.“ I tak na jednym gruncie było nas trzech z jednéj krwi: jeden nazywał się Grzanka, drugi Butterbrod, a trzeci Zwejbak. A Bóg wié, jakby czwartego nazwano!...

— Hm, hm!—odchrząknął ekonom i puścił chmurę dymu przed sam nos Grzanki.

— Otóż smutno mi było zostać w domu, *miłościwy panje*, bo w niedzielę wszyscy ludzie śmieli się ze mnie, nazywając mnie to Butterbrod, to Zwejbak. Do tego brat mój i syn jego, czyli Butterbrod i Zwejbak, dokuczali mi, kazali wynieść się z ich chałupy, i tak wziąłem trochę towaru na plecy i puściłem się w świat, a zdaje mi się, iż mi tu lepiéj będzie.

— Hm, hm!—chrząknął ekonom, rozbiérając w głowie tragiczną historyą imienia „Grzanków,“ i dziękując Bogu, iż jego imię Mietlica, przeszedłszy wprawdzie wiele metamorfoz podczas wojaczki, wróciło jednak pod strzechę rodzinną czyste i nieskazitelne.

A chcąc nieszczęśliwemu Grzance w nagrodę jego opowiadania dać jakie takie wyobrażenie o kolejach losu swojego imienia Mietlicy, opowiedział mu w grubych zarysach *curriculum vitae;* w jakim to niebezpieczeństwie w cudzoziemskich autoramentach było jego imię; przyznał się, iż raz już tak się poplątało przy

obcéj ortografii, że go sam rozpoznać nie mógł; ale koniec końców, imię Mietlica wyszło czyste na wiérzch jak kropla oliwy z brudnéj wody. Wszedłszy raz na ten przedmiot, opowiadał mu wiele o swojéj waleczności i odwadze w bitwach i atakach, mianowicie nieco obszérniéj opisał niebezpieczeństwo przy asekuracyi dział, kiedy to człowiekowi w piersiach duszno się robi... A na zakończenie dał opis ataku, wykonanego na redutę przez drugi pułk ułanów, w którym zaszczytny miał udział. Mówiąc o nieprzyjacielskim artylerzyście, przykładającym lont do armaty, wpadł w ferwor niepospolity. I właśnie, gdy go już trupem miał położyć i uzmysławiając Kaszubowi tę manipulacyą, kilka razy pchnął kijem w starą wierzbę, koło któréj właśnie przechodzili—nagle jakiś dziwny głos zaleciał do jego uszu.. Zamilkł, jakby mu kto usta na węzeł zawiązał, a tak jakoś zmalał i zgarbił się waleczny wachmistrz, iż trudno było w nim poznać owego Mietlicę, co przed chwilą z wielkim zamachem zabijał artylerzystę przy saméj panewce armaty...

Stali już przed bramą folwarku. Gdzieś w głębi słychać było głos kobiécy, mający w sobie wszelkie cechy namiętności.

Ekonom stanął jak wryty i zdawało się, że nie wiedział nagle, co daléj począć. Po chwili przyszedł do siebie i rzekł:

— Hola! tutaj zatrzymacie się... Ja pójdę piérwéj, bo... psy złe na folwarku.

Wojna uśmiéchnął się i ścisnął przyjaciela za rękę. Zrozumiał go dobrze.

— Tutaj zaczekacie trochę — mówił daléj ekonom —a ja wam dam znać, kiedy przyjść macie. Gdy

mi się uda złapać Tyrana na łańcuch, to zagwizdam z okna na nutę: „Jechał Maciéj od Skalbmierza,“ a wtedy prosto w bramę i na ganek. A gdy zagwizdam: „Hiszpan dumny i ponury,“ to niebezpieczna wchodzić. Wtedy suńcie prosto do szpitalu, a ja tam przyjdę za chwilę i przyniosę co zjeść i wypić.

Rzekłszy to, ścisnął za rękę przyjaciela, który jego nieszczęście dobrze pojmował, a otworzywszy bramkę, z ciężkim sercem wsunął się na dziedziniec waleczny żołnierz drugiego pułku ułanów.

Na ganku małego domu stała kobiéta z światłem w ręku. Niżka, pękata, różowa na twarzy, była już w kompletnym negliżu. Włosy miała rozczochrane, oczy czerwone, i wrzaskliwym głosem, naraz z kilku tonów złożonym recytowała długi „paternoster“ jakiéjś biédnéj istocie, rodzaju żeńskiego, która skulona drżała przed gankiem.

— To ty, włóczęgo!—krzyknęła kobiéta w negliżu, zaświéciwszy w oczy przysuwającemu się zwolna małżonkowi.

— Ja, moja Małgosiu — odpowiedział pokornie waleczny ułan.

— Ty włóczysz się tylko od świtu do nocy—krzyczała Małgosia—a tu Maryśka straszne rzeczy wyrabia! Wszystkie naczynie tłucze!

I ogromny garnek z ogromniejszym jeszcze trzaskiem upadł na ziemię. Ekonom wstrząsł się; przypomniała mu się asekuracya przy działach. Zdawało mu się, że bomba koło niego padła.

— Małgosiu, kochana Małgosiu! — szepnął jak mógł najsłodziéj.

— Milcz, stary dziadzie! — wrzasnęła Małgosia, rzucając na ganek ogromną rynkę, z którą miała iść do śpiżarni.

— Tam do kata!—pomyślał sobie stary ułan—zła baba, to gorzéj niż asekuracya przy działach.

— I cóż stoisz, i czego się patrzysz? — wrzasnęła kochana Małgosia z taką energią, iż waleczny żołniérz drugiego pułku ułanów uznał za rzecz przyzwoitą, kapitulować jak można najprędzéj.

Z smutną miną wszedł do izdebki i już zbliżył się do okna, aby przyjacielowi umówiony sygnał: „Hiszpan dumny i ponury“ jak najciszéj wygwizdać, gdy ukochana Małgosia wtoczyła się do izby, a z nią jakaś genialna myśl wleciała do jego skłopotanéj głowy. Czekał tylko uspokojenia małżonki.

— Kochana Małgosiu—rzekł po chwili—powiedziałbym ci coś, gdybyś się nie gniéwała.

— Ciekawam, co ty mi powiedzieć możesz!—odburknęła kochana Małgosia.

— Śniło mi się wczoraj o tobie, kochana Małgosiu!

— I cóż tam takiego?

— Gdym się przebudził, to pot kroplami jak orzechy lał się ze mnie...

— No, cóż?—krzyknęła już zniecierpliwiona małżonka.

— Bo, ja bym ciebie nie przeżył... Na starość smutno zostać siérotą...

Jakaś dziwna myśl, zimna jak bryła lodu, wpadła w wiecznie kipiące serce kochanéj małżonki. Usiadła

na stołku i założyła ręce. Ekonom uśmiéchnął się z radości, iż mu się jakoś szczęścić zaczyna.

— Śniło się mi, żeś ty umarła!—wyjąknął stary ułan tak melodramatycznie, że się aż sam w duszy rozweselił.

— Ja umarłam?... pfe, pfe! czyś oszalał?... Ja umarła? ja, stary dziadzie... Ja umrzéć przed tobą?...

— Położono cię nogami do drzwi, na dużym stole...

— W imię Ojca i Syna i Ducha... pfe, pfe... oszalał!...

— Na białém prześcieradle, z krzyżykiem w ręku...

— Oszalał!

— Sześć świéc zaświécono przy tobie, a w nogach lampę!

— Sześć świéc!

— Przyszedł stolarz, wziął miarę na trumnę...

— Brr...

— Włożyli cię do trumny... wynieśli... zaśpiéwali.....

— Brrr... Trzeba dać na mszę świętą...

— Postawili nad grobem... a grób był ciemny, głęboki, zimny!...

— Zdrowaś Maryo, łaskiś pełna...

— Ksiądz pokropił trumnę święconą wodą, a grabarz zarzucił sznur...

— Błogosławiony owoc żywota twego, Jezus!

— A grób był ciemny, głęboki, zimny...

— Módl się za nami grzesznymi...

— Spuścili trumnę na sam dół i poczęli sypać ziemię...

— I w godzinę śmierci naszéj, amen!

— A ja upadłem na kolana i zawołałem z płaczem: „O Boże, czemuż mnie tak karzesz!“ A Pan Bóg rzekł do mnie: „Głupiś Mietlica, że za nią płaczesz. Mówiąc między nami, nie masz czego żałować.“ I cóż ona przewiniła? zapytałem. Była wcale nie zła kobiécina, a chociaż czasem się pogniéwała, toż przecie nie taki to ciężki grzéch... A Pan Bóg mi na to: „Nie za jéj gniéw ukarałem ją, ale za jéj złe serce!“ Ubogiemu nigdy nie da ani kawałka chleba, a biédnych podróżnych, którzy nocą na folwark przyjdą, nigdy nie przenocuje! To grzéch śmiertelny!

— Jakto! — ozwała się nieśmiało biédna Małgosia—czyż dopiéro wczoraj nie dałam dwom dziadom chleba, a jeżliby jaki podróżny przyszedł i o nocleg prosił, wszak kącik zawsze znalazłby się...

— I gdy tak klęczałem i płakałem, nagle zbudziłem się, a widząc, że to był sen tylko, ślubowałem zaraz dać na mszę świętą naszemu proboszczowi!

— Trzeba dać, trzeba... Ale ja nie przypominam sobie... a może... ale nie...

— To już nic, moja Małgosiu, nic...—pocieszał ją małżonek— trzeba tylko na przyszłość uważać. Dobre uczynki nigdy nie zalegną u Pana Boga... Rzetelnie on je wypłaca i to z lichwą nawet, jak mówi ksiądz proboszcz.

Zdawało się, że te słowa powinny były uspokoić zbyt tkliwe sumienie kochanéj małżonki. Ale tak jakoś nie było... Rozbudziły one widocznie utajone grzéchy nieszczęśliwéj gospodyni, które jak nocne ćmy zaczęły latać około zapalonéj świéczki zbudzonego sumienia. Zwiesiła głowę i zamyśliła się...

Uśmiéchnął się stary ułan i pogładził wąsy. Korzystając z tak dobréj chwili, otworzył okno i donośnie, a nawet z koloraturą wygwizdał: „Jechał Maciek od Skalbmierza,“ aż się po całém Radziejewie rozległo. Żona przyzwyczajona do podobnéj fantazyi starego ułana, nic na to nie mówiła, a nawet według wszelkiego prawdopodobieństwa, wcale go w téj chwili nie słyszała.

Teraz otwarły się drzwi...

— A goście, goście! — krzyknął Mietlica, ściskając Wojnę za rękę — a to podróżny, prawda, podróżny!...

Kaszub skłonił się gospodyni i obrazom świętym, nie domyślając się wcale taktyki starego ułana. Gospodyni powitała grzecznie i po chrześciańsku przybyłych, będąc niemal pewną, iż Pan Bóg to na pokusę przysłał jéj dzisiejszych gości. A chcąc przyzwoicie wyjść z tentacyi, szepnęła do ucha mężowi:

— Zapewne przenocują tutaj... Zgotuję kiełbasę z sosem... A może i piwa...

Mietlica kiwnął głową na wszystko, uśmiéchał się i głaskał wąsy. A gdy żona za wieczerzą z izby wyszła, przechylił się do ucha Wojny i szepnął:

— Niech tylko stary z młodą nigdy się nie żeni! Nie każda taka święta, jak nasza majorowa!

Wojna uśmiéchnął się do przyjaciela, ale nic mu na to nie odpowiedział. Wszystkie jego myśli skierowane były do zielonéj ropuchy, którą Kaszub na stole położył. W głowie jego dojrzéwał jakiś ważny plan...

— Przychodzi mi na myśl—ozwał się po chwili— iż Grzanka tymczasem może u mnie mieszkać. Może

cie go tam zaprowadzić i wskazać mu, jak i kiedy zegary się nakręcają. Tylko ostrożnie, aby nie popsuł.

Kaszub skłonił się za tak wielkie dobrodziejstwo, przyrzekł pilnować święcie wszystkiego i nic nie ruszać. Wojna jeszcze przestrzegł go przed swoim niebezpiecznym sąsiadem, opisał mu jego sklep, jego uśmiech szyderczy, okrągłą czapeczkę i brzuch tłusty... Zaklinał go, aby mu się nigdy nie pokazał.

Kaszub przyrzekł wszystko święcie uczynić, a ekonom obiecał przez tych kilka dni donosić mu nieco żywności.

Tymczasem przyszła na stół kiełbasa z sosem. Rozprawiano wiele o Kaszubach i o *zargu*, a gdy już około północy stary ekonom pod pierzynkę się wsunął, miał sny roskoszne, cudowne! Śniło mu się, że przy zdolnościach swoich, jakie dzisiaj okazał, mógłby być najmniéj majorem, a gdy tym tytułem trochę się nacieszył, zaawansował na pułkownika, potém na jenerała, wreszcie nad samym ranem został wodzem naczelnym jakiéjś wielkiéj armii, a tak głośno komenderował i szablą wywijał, iż wszystkich ze snu pobudził i na ręce kilka sińców sobie nabił.

— Tam do kata!—krzyknął, przecierając oczy.— Mógłbym być Napoleonem, gdybym nie był Mietlicą!

IV.

Kiedy Jerzy od starego zégarmistrza do swego mieszkania powrócił i z gorączkową niecierpliwością przebiérać się zaczął, służący podsunął mu spory pakiet właśnie przed chwilą z poczty odebrany. Jerzy rzucił okiem na pakiet, a domyśliwszy się jego treści kontynuował daléj swoje ubranie.

Za kilka minut był gotów. Do ósméj brakowało jeszcze trzy kwadranse. Była to zwykła godzina, w któréj schodzono się w zamku na herbatę. Chcąc zatem ten czas czémś zapełnić, odpieczętował pakiet i zajął się przeglądaniem jego treści. Była to zwykła posyłka książek najnowszych z księgarni poznańskiéj.

Na samym wiérzchu leżało piękne album w żółtéj okładce. Był to zbiór rycin, zdjętych z najnowszych obrazów znakomitych artystów. Jerzy przerzucił kilka kartek; na trzeciéj stanął, patrzył na nią uważnie, a potarłszy ręką czoło, wstał i począł się przechadzać.

Była to kopia najnowszego obrazu Herbsthofera, przedstawiająca pokusę św. Antoniego. Artysta pojął i po mistrzowsku oddał ten przedmiot. Z ciemnego tła jaskini występuje silna postać świętego... Widać,

iż potężny duch wprowadził człowieka tego do téj jaskini, oderwawszy go od uciech i rozkoszy światowych; ale widać także, iż i ciało to silne, z którém duch staczać musi walki, i krew gorąca, trudna do ochłodzenia kontemplacyami o marnościach tego życia... Przed nim skała, mocna jak jego wiara, a na skale krzyż, to godło jego życia... Z każdego cienia, z każdego półświatła, wieje zimna, grobowa woń ascetyzmu... Święty modli się... Na błękitnym obłoku przybywa doń piękne, czarujące widmo... Dwie kobiéty, splecione uściskiem, zbliżają się ku niemu... Ich szaty na pół przejrzyste, ich kształty śliczne, okrągłe... Jedna śmiała, wyzywająca, nęci wejrzeniem, uśmiéchem i wzniesioném do uścisków ramieniem... Druga smutna, zadumana, spuszcza oczy, zdaje się cofać, ale jakaś senna omdlałość całéj jéj postaci nie zapowiada żadnego oporu. Święty chwyta krzyż, w jego twarzy maluje się walka straszliwa...

— Dziwny przypadek! — rzekł do siebie Jerzy, zatrzymując się przy stole i patrząc na rycinę — właśnie w téj chwili wpada mi w ręce taki obraz!

I odwrócił się szybko od stołu, i począł się znowu przechadzać.

— Tyle już życia za tobą—szeptała za nim piękna kusicielka — a jeszcze kwiat szczęścia nie zakwitnął dla ciebie! Powiedz, czy byłeś szczęśliwy w twoich szlachetnych pragnieniach! Bóg zapragnie i stanie się, a człowiek stworzony na podobieństwo Boga, ma w sobie tylko pragnienie jego! Na cóż mu to pragnienie, gdy do dzieła nie doprowadzi?... Bądź szczęśliwy, ona cię kocha!...

Jerzy spojrzał na zégarek: było dopiéro wpół do ósméj. Wziął kapelusz i wyszedł.

Bohatér nasz należał do rzędu owych nieszczęśliwych istot, które burza zbyt wcześnie wyrzuca z gniazd rodzinnych. Dzieci burzy noszą ją w sercu swojém po wszystkich ściéżkach życia i szukają burzy, aby w niéj zginąć. Oprócz starego Dębicza nikt nie znał jego prawdziwéj rodziny, a imię, które dzisiaj nosił, nie było jego. Młodzieńcem przybył do Poznania, dokończył nauk i poświęcił się literaturze. Kilka pieśni rzewnych, tęsknych, które wyszły w pismach poznańskich, odsłoniły duszę zranioną, bolejącą, co sama jeszcze nic nie straciła, a zastała już wszystko stracone!... Zdawało się, iż poeta nie żyje własném swojém życiem, że tak wcześnie zlał się z życiem całego rodu ludzkiego, dla którego raj był już stracony!...

Najmocniéj zajmowały go dzieje ojczyste. Im poświęcał cały swój czas, rozpatrując się okiem poety po starych, olbrzymich pomnikach olbrzymiéj przeszłości.

Po niejakim czasie ukazał się plon téj cichéj pracy. Był to poemacik pod tytułem: „Bolesław Wielki,“ który rozszérzając granice Polski, mieczem w złotą bramę uderza i w Dnieprze słupy żelazne bić każe. Przyjęto z oklaskiem ten hołd, oddany przeszłości, a młody poeta tém większym rozgorzał ogniem.

Odtąd znany był Jerzy w całym zakątku ziemi wielkopolskiéj. A był to właśnie czas, który mieszkańców téj ziemi więcéj zbliżył do siebie, w którym ziemia ta przodować chciała innym ziemiom polskim, stojąc na czele usiłowań literackich. Każde gorętsze uczucie, każdy śmielszy duch znalazł tu swoje pole. Ludzi

przodujących na tém polu, znano w każdym dworku szlacheckim, a nawet w pałacach przyjmowano chętnie i gościnnie.

Młody, przystojny, ekscentryczny Jerzy stał się ulubieńcem towarzystw. Mężczyzni ściskali się z nim jako z człowiekiem talentu i zasługi w dziedzinie literatury ojczystéj, do czego nie mało przyczyniła się pewna aureola, któréj wprawdzie nikt oczyma nie widział, a jednak sercem i duszą przeczuwał, aureola, pod którą chowają się zwykle kolce cierniowe. Wprawdzie utrzymywali niektórzy, iż od starego Dębicza mają najpewniejsze wiadomości o Jerzym, który pod pokrowcem zwyczajnego swego imienia nosi imię tak wszystkim znane, żeby niém mógł wszystkich przestraszyć — ale wszyscy niby milczeli. W tym razie z potrzeby zrobiła się cnota, a Jerzy był serdecznie witany i ściskany, gdziekolwiek tylko się ukazał.

Rozumié się samo przez się, iż płeć piękna nie dała się wyprzedzić. Młody człowiek musiał wiele oczu ściągnąć na siebie. A gdy do tego dodamy piękną, mężką postać, bladą twarz, krucze włosy i ciemne, płomieniem gorejące oko, nic dziwnego, iż Jerzy stał się na długo ideałem wszystkich marzących dziewic, póki kapryśny los nie rzucił ich w objęcia łysych, pękatych mężów, którzy prócz wytwornego ekwipażu nie mieli ani aureoli nad czołem, ani krzty poezyi w sercach swoich.

Wspomnieliśmy, iż Jerzy liczył około dwudziestu ośmiu lat... Czy przy tém swojém tak wyjątkowém położeniu kochał się kiedy? Czy przebolał piérwsze rozczarowanie snów młodzieńczych? O tém nic pewnego powiedzieć nie możemy. I z jego twarzy nie można

więcéj wyczytać. W koło pięknych ust wije się wprawdzie uśmiéch lekkiéj ironii, która zazwyczaj osiada tam po marnie przebytych zachwytach duszy, gdy ta szczęścia swojego nie znalazła na ziemi. Z po za zimnéj, lodowéj skorupy wygląda ona łzawa i smutna, jak biédna muszka zastygła w bursztynie. Czy ten uśmiéch bolesnéj ironii na jego różowych ustach jest nagrobkiem jakiéj nieszczęśliwéj miłości?... Są ludzie, którzy się rodzą z takim uśmiéchem, którzy z piérwszém uderzeniem serca czują żal do świata, jakby tęsknili za jakąś wyższą, piękniejszą ojczyzną!...

Życie na krańcach jednego i drugiego społeczeństwa, życie na krańcach stykających się z sobą dwóch narodów, wyrabia wyjątkowe pragnienia, tworzy ludzi wyjątkowych. Jeźli ten kraniec, stykający się z drugim, nie obumarł zupełnie, jak obumarło tyle plemion słowiańskich, to odbywa się na nim straszna, zacięta walka, niewidzialna dla oka powszedniego, walka dwóch napływających na siebie żywiołów, dwóch oświat, dwóch narodów. W miarę siły jednego i drugiego rośnie i upada ta walka, zbliża się i cofa demarkacyjna linia zwycięztwa. Széroka przestrzeń kraju czuje wstrząśnienia tych zapasów zaciętych i dostarcza ofiar do zastępu poległych! Kazi się język praojców, obyczaje dawne upadają, giną cnoty domowe i dziedziczne. Z krańców mienia narodowego odrywa się ziemi kawałek po kawałku; nieudolni wnukowie wydają w ręce obcych grobowce ojców swoich, których pomarszczone czoła okazują, iż mają sny straszne i okropne!...

Każde gorętsze serce czuje tutaj, iż w koło niego bój się toczy, czuje pragnienie walki i szuka sobie sto-

sownéj broni... Cześć wam, rycerze kresowi! Kilka mogił, kilka pamiątek, zapisanych w sercach waszych braci, kilka starych map, okażą wnukom waszym miejsce, gdzieście walczyli! Wy, gladyatorowie granic narodowych, stoicie dzisiaj śród cyrku narodu i wołacie: *„Morituri te salutant!“*

Rozczytując się w dziejach Bolesława Wielkiego, ukochał Jerzy tego bohatéra, który polskie granice rozciągnął aż do Złotéj bramy i Dniepru. A tymczasem za plecyma poety malała coraz więcéj ziemia ojczysta, wpadały stare, szlacheckie dworki w ręce fabrykantów i przemysłowców obcych, i zdało się, iż kolébka narodu polskiego będzie wkrótce jego piérwszą mogiłą!...

Jerzy zatrwożył się—trzecia część ziemi polskiéj była już w ręku obcych.

Szlachta podupadła, lud zbiédniał, miasta wynarodowiły się... W pięknéj, poetycznéj duszy Jerzego powstała myśl szczytna, bohatérska. Chciał stanąć w szeregu walczących. Oświata ludu zdawała się mu najpiérwszą potrzebą do obrony kresów ziemi rodzinnéj.

Jerzy był poetą. Szczérozłotą poezyą pragnął wprost w życie przenieść... Wszystko to, co kiedykolwiek wyśpiéwał, chciał teraz czynem stwierdzić.

Oglądał się więc po społeczeństwie, szukając stosownego dla siebie miejsca. Zdawało się mu, iż zawód lekarza najlepiéj odpowiedziałby jego marzeniom. Bezpośrednie zetknięcie się z ludem i szlachtą, wielostronność stosunków takiego życia, miały dla niego urok poetyczny. Na takiém stanowisku chciał walczyć przeciw prądowi obcéj cywilizacyi, która wynaradawiając

mieszkańców, każąc ich życie i obyczaje, wyrywała im z rąk puścizny ojcowskie.

Były to marzenia młodéj, gorącéj duszy; był to niewyśpiéwany poemat życia, który sobie teraz zakréślił młody marzyciel.

Gdyby życie nasze składało się z samych pięknych, szlachetnych myśli, któreby nas najprostszą drogą do celu zaprowadziły, moglibyśmy każdą powieść zamknąć w kilku słowach... Ale życie to walka! Idziemy, upadamy i znów podnosimy się, aby na nowo bój rozpocząć. A ta długa, niepewna droga nasza, to powieść życia.

Gorące, namiętne dusze tém więcéj podlegają wrażeniom. Wszystko to, co ich na téj drodze spotka, wiąże ich i krępuje, a coby przeszło mimo piersi zwyczajnego człowieka, ściska ich i przygniata jak węże Laokoona. A jeśli w końcu uda się im dojść do celu z rozdartą piersią, z sercem poranionem; jeśli krwawe ślady śmiertelnéj walki zostawią na ścieżce żywota; jeśli wreszcie bez sił i bez tchu upadną na wytkniętéj mecie: świat nie oceni bynajmniéj ich zasług, ich walkę z samym sobą, z namiętnościami gorącéj duszy swojéj, policzy im za grzéchy i zimną, lodową miarą zmierzy przestrzeń drogi, którą ubiegli śród mąk piekielnych...

Jerzy wybiegł za bramę Dąbczyna. Chłodny wiatr owiał mu gorące skronie. Przed jego oczami stał nieszczęsny obraz Herbsthofera i przypominał mu własne jego dzieje.

— Ona cię kocha — szeptała za nim piękna kusicielka — kilka chwil szczęścia wystarczy ci na całe życie!

Jerzy obejrzał się, jakby chciał ujrzéć widmo, które za nim pędziło... A za nim już w mroku wieczornym czerniły się mury Dąbczyna; zamkowa wieża malowała się na majowém niebie jak czarny słup graniczny, a w kilku oknach błyszczało światło...

Miasteczko Dąbczyn leżało na samym krańcu ziemi wielkopolskiéj. Od niepamiętnych czasów było ono w posiadaniu rodziny, któréj potomek i dzisiaj ją dzierży. Trudno o pewną datę historyi tego domu. Można tylko powiedzieć, iż Dąbczyn był niegdyś warownym grodem granicznym i że w wieku trzynastym znany jest Jarost z Dąbczyna jako kasztelan tego grodu. Później ustały kasztelanie zamków i grodów, a Dąbczyńscy piszą się po prostu z Dąbczyna. Ponieważ zaś Dąbczyn *cum attinentiis* z dawnéj tradycyi zwie się „margrabczyzną," jako ziemia, należąca niegdyś pogranicznemu niemieckiemu markgrafowi, którą oręż Bolesławów do Polski wcielił, przeto i dziedzice Dąbczyna poczęli się później nazywać margrabiami. Wiadomo jednak, że podług przepisów rzeczypospolitéj nie wolno było szlachcie polskiéj nosić tytułów zagranicznych, a chociaż coś z nich *per usum* na niektóre rodziny milczeniem przeszło, to tytuł margrabiego, oprócz Pinczowa, był w Polsce wcale nie używany. Otóż i Dąbczyńscy zaniechali później tego tytułu na wszystkich dokumentach prawnych; tylko w pożyciu towarzyskiém utrzymała się jeszcze ta tradycya, bardziéj jednak odnosząc się do saméj posiadłości jako „margrabczyzny," aniżeli do dzisiejszego jéj właściciela. Wreszcie tytuł ten stał się tylko czczym przydomkiem imienia Dąbczyńskich, nie nadając mu w hierarchii społecznéj żadnego wyszczególnienia.

Wolno jednak było potomkom Jarosta z Dąbczyna wierzyć w ten klejnot rodowy, jeżli wiara ta mogła ich zagrzać do czynów, jakiemi ojcowie ich przysłużyli się rzeczypospolitéj. Ale dzisiaj zasadzała się wiara ta na dumie i wyniosłości pańskiéj, a oparta na wielkich i obszérnych majętnościach, znalazła zawsze chętnych czcicieli pomiędzy ludźmi, pobłażliwymi na ułomności drugich.

Inaczéj pojmowali zaszczyty swoje przodkowie Dąbczyńskich. Na bramie Dąbczyna, niegdyś obronnéj a dzisiaj w gruzy zapadającéj jest jeszcze napis, wprawdzie niezgrabnie i mozolnie w kamieniu wyryty, ale stokroć milszy sercu potomków, nad gładkie malowidło na lśniących drzwiczkach powozów. Napis ten był prosty: „*Ad tuendum populum aedificavit Jarost· Anno 1245.*“ Więc gród ten, stojący na kresach ziemi polskiéj, był ochroną dla ludu, gdy nieprzyjaciel kraj najechał. Dąbczyńscy bronili ludu, a z ludem bronili ziemi, nad którą mieli poruczoną sobie opiekę.

Dzisiaj porozpadały się mury Dąbczyna, okopy zrównały się z ziemią i tylko kilka ruin wskazuje miejsce, na którém przeciw nieprzyjaciołom walczyli rycerze kresowi. A nawet zamek, owo *castellum* starego Jarosta, z którego murów śledził obroty i postępy Krzyżaków, postarzał się i przykląkł do ziemi, jak spracowany, bliznami okryty wojownik.

Wieża zamkowa ostała się jeszcze. Do niéj przybudowano w późniejszych czasach duży, dwupiętrowy czworobok, któremu dano imię zamku. Reszta była już w gruzach, lub służyła na składy i mieszkania służby.

Najpiękniejszą ozdobą Dąbczyńskich była wspaniała kaplica zamkowa. Dzisiaj jednak obok tych gruzów, które ją otaczały, czyniła smutne, posępne wrażenie. Na okazałym froncie widać było dwa rzędy olbrzymich kolumn, dźwigających obszérną, ciężką galeryą, stanowiącą pokrycie kaplicy. Na téj galeryi stał szereg kolosalnych postaci, wykutych z kamienia. Olbrzymom tym jakby ciasno było w téj małéj świątyni, zdawało się więc, iż wyszli na krużganek, aby w swoje piersi śpiżowe zaczerpnąć powietrza... I tęskno patrzą z krużganku w świat boży, i wyrzucają potomkom, że im tak ciasną, tak duszną zbudowali świątynię..... I zdają się czekać na jakiś obłok przelotny, który ma ich zabrać z sobą, daleko, daleko..... gdzieś w inne strony!...

Takiém poetycznem okiem przebiegał nieraz Jerzy te szczątki dawnéj przeszłości. I dziwnym zdał mu się przewrót dziejów, rozdających rolę nowym swoim aktorom. Kasztelan Jarost buduje zamek i gród obronny, iżby bronić granic rzeczypospolitéj, dostaje za to z rąk króla ziemie i zaszczyty, na których cięży dług i powinność dla wszystkich jego następców. . A po kilku wiekach walą się mury grodu, potomkowie Jarosta zapominają o długu, opartym na ich mieniu i imieniu, żyją dla dumy swojéj i egoizmu, i oto przychodzi nieznany, ubogi człowiek, aby na kresach kraju zająć stanowisko, z którego tamci zeszli...

Jerzy wrócił do miasta. Na wieży zamkowéj wybiło trzy kwadranse.

Wieczór był piękny, majowy. Tysiące muszek brzęczało jeszcze w powietrzu, szukając na noc ochrony. Wesoły gwar robotników, idących na spoczynek po

dziennéj pracy, zalatywał go zdala jak dźwięczny akord w pięknéj harmonii życia.

— To życie takie piękne i miłe—szeptała mu kusicielka z podniesionem do uścisków ramieniem — używaj go, pij z kielicha słodyczy!... Ona cię kocha!...

— Ona cię kochać nie może! — mówił jego chłodny, ironiczny uśmiéch — a gdy uwierzysz jéj oczom, wejdziesz na bezdroże życia! Będziesz płakał nad samym sobą, nad życiem, które pójdzie krzywo.

— Ale ona cię kocha! — woła znowu serce zbudzone — a miłość wszystko może uczynić! Patrz, oto otwiéra się okno w jéj pokoju, jéj smutna twarz wychyla się ku tobie, jéj łzawe oko śledzi cię po niebie majowém, a serce jéj powtarza słowa poety:

Wypłyń, wypłyń z za obłoku,
Po błękitnym przeleć niebie!
Ja, kochanka, wzywam ciebie!...

— Ona tylko bada—mówi jego chłodny, ironiczny uśmiéch — jaka pogoda będzie jutro, jaką suknię weźmie i jakie ubranie do kapelusza, gdy wyjdzie na przechadzkę...

Ósma wybiła. Jerzy potarł czoło, jakby się chciał pozbyć jakichś myśli niemiłych, i szybko wstąpił na kamienne schody, prowadzące do zamku Dąbczyńskich.

Wróciwszy z Czarnowód, weszła margrabina pobocznemi schodkami do swoich pokoi. Był to znak, iż unika zwykłych przywitań z domowymi i chce być samą. Jakoż w saméj rzeczy, zrzuciwszy kapelusz i za-

rzutkę na fotel, zadzwoniła na lokaja i rozkazała przenieść lampę do błękitnego pokoju.

Tak zwany błękitny pokój był to wysoki, podłużny salonik, przypiérający do saméj wieży. Zdaje się, iż pokój ten musiał jeszcze pozostać z dawniejszych czasów, do którego późniéj przymurowano nowe skrzydło. Architektura, a nawet niektóre sprzęty nosiły na sobie cechę szesnastego wieku. Ściany narzucone były jakąś masą, naśladującą szary marmur z złotemi pręgami. W koło wisiały duże, olejne obrazy, przedstawiające dosyć niezgrabnie niektóre sceny z pisma świętego. Pułap podzielony był na różne pola, przedzielone złotemi, wypukłemi ramami, a w zagłębieniach wpuszczone były obrazy, uprzytomniające różne wojenne sceny z życia dawnych kasztelanów Dąbczyna. Na marmurowych odrzwiach, między arabeskami, wyobrażony był herb Dąbczyńskich. Niepospolitéj także roboty był ów kominek marmurem obłożony, ale nie musiał snać w północnéj strefie odpowiadać swemu przeznaczeniu, bo tuż obok niego postawiono w późniejszych już latach piec olbrzymich rozmiarów z białych, błyszczących kafli, na których w wypukłéj robocie widać było herby rodziny. Pod oknem stał duży stół marmurowy, a daléj w samym rogu sali opiérał się o ścianę stół trójgraniasty o skórzanym worku po każdéj stronie, który zapewne dawnym kasztelanom Dąbczyna służył do gry w kostki. Starożytną tę komnatę osłoniono dzisiaj tu i owdzie błękitną draperyą, mającą pokryć uszkodzenia czasu, i stąd nazwa błękitnego pokoju.

Służył on teraz margrabinie za pracownię w chwilach smutku i melancholii. Na marmurowym stole le-

żały różne przyrządy do pisania i rysowania. Jakaś starożytna atmosfera téj posępnéj komnaty, światło przyćmione, połamane przez grube, żelazne kraty, i ta grobowa cisza, w koło panująca, wpływały korzystnie na nerwy siedzącéj tutaj samotnie i budziły w jéj duszy łudzące obrazy wspomnień.

Już lampa dawno zapłonęła na stole marmurowym, gdy obraz św. Jana Chrzciciela odsunął się zwolna od ściany, a przez drzwi za nim ukryte weszła margrabina ze stoczkiem w ręku. Zmierzywszy pustą przestrzeń komnaty, zdmuchnęła światło i usiadła przy stoliku. Na stoliku leżała przed nią gruba książka, oprawna w aksamit „*sang de boeuf*," mająca na czele złoty napis: „*Confessions d'une femme.*" Poniżéj stała dewiza: „*La passion est la vie.*"

Nad tą książką usiadła margrabina, podparła ręką twarz okraszoną rumieńcem silnego wzruszenia i zamyśliła się głęboko. Oko jéj patrzyło w ciemną, pustą przestrzeń, jakby tam widziało jakie ruszające się postacie. Wreszcie zakręciły się dwie łzy, rozjaśniły na chwilę przyćmione źrenice i spłynęły zwolna po zmarszczkach twarzy...

Margrabina była już wprawdzie dawno za progiem owych lat gorących, w których serce kobiéty z gorączkową namiętnością chwyta ostatni puhar roskoszy i uniesień, zanim ją zmarszczki i włos biały lodowym okryją całunem; ale silna jéj wyobraźnia umiała tak żywo odtwarzać obrazy młodości, że samo wspomnienie napawało ją połową roskoszy, jakich używała za lat młodszych. To odżuwanie ubiegłego życia było dla niéj dzisiaj jedyném zajęciem, jedyną namiętnością, któréj oddawała się cała. Zdawało się, iż w tych eks-

tazach traciła połowę swego wieku, stawała się dziecinną, płakała z nadmiaru roskoszy, jak młoda dziewica, czując piérwszy uścisk miłosny.

Te sztuczne, nerwowe ekstazy były dzisiaj koniecznym warunkiem jéj życia. Przez dewizę swoję, którą dopiéro czytaliśmy na okładce jéj pamiętników, straciła biédna kobiéta grunt życia, którym jest religia i obowiązki, i jak wirem porwana łódka bez steru, chwiała się po bezgłębnych toniach. Nie widziała nawet tego, że zbyt często sztuczne jéj uczucie sprzeciwia się własnemu jéj życiu, w rzeczywistości wcale innemu, jak je potém widziała przez pryzmat swoich wspomnień sentymentalnych.

Rozmowa z Zuzanną w Czarnowodach rozbudziła jéj wyobraźnię; dawne wspomnienia stanęły jéj żywo przed oczyma. Korzystając z tego usposobienia, chciała jeszcze przed herbatą zapisać kilka kartek swoich pamiętników.

Otarła łzy, które coraz obficiéj cisnęły się do jéj oczu, otworzyła książkę i zaczęła pisać:

„...Dla kobiéty niéma rzeczywistości; wszystko, co się staje rzeczywistém, przestaje być dla niéj ponętą i roskoszą, bo jéj przeznaczeniem jest pragnąć i tylko pragnąć a w tych pragnieniach umiérać! Gdyby mi wolno było wrócić do życia; najprzód bym marzyła, potém pragnęła; i z pragnieniem w sercu, z pragnieniem na gorących ustach, których się żaden nie dotknął śmiertelny, weszłabym w świat duchów, w dziewiczéj na głowie koronie, i rzekłabym do Boga: „Pragnęłam miłości, pragnęłam szczęścia— ale nie byłam szczęśliwą, nie byłam kochaną!...“ Bo miłość, którą w duszy przeczułam, nie mieszka na zie-

mi, a szczęście, o którém marzyłam, uleciało jak mgła wiosenna... Raz tylko wybłysnął promień słońca i padł do mojéj duszy, ale chmury zakryły go, a mnie zostały tylko łzy i łzy!... Ostatnie sny mojéj młodości, gdzieście uleciały! Życie wasze było życiem motyla—kilka kwiatków, kilka kropel rosy, a niéma was o lube, złote sny młodości!..."

W téj chwili św. Jan Chrzciciel znowu musiał ruszyć się z miejsca swego i do starożytnéj Dąbczyńskich komnaty wpuścić nowego przybysza.

Wchodzący był wysokim mężczyzną o siwych włosach, ale twarzy tak rumianéj i gładko wygolonéj, że siwe włosy wcale się do niéj nie stosowały i wyglądały jak biała upudrowana peruka. Na szyi miał białą chustkę starannie zawiązaną, biała kamizelka i frak ciemnego koloru uzupełniały jego ubiór.

Gdy św. Jan Chrzciciel znowu na swojém stanął miejscu, na którém przez tyle wieków wypełniał jak najsumienniéj obowiązki wołającego na puszczy, zbliżył się nowy przybysz z cicha do stołu marmurowego i rzekł cichym głosem:

— Hermino, jeżli ci nie przeszkodę...

Margrabina obejrzała się, a poznawszy męża, ozwała się:

— Zaraz, mój drogi, będę ci służyć, tylko dokończę téj kartki.

Margrabia przeszedł się kilka razy po marmurowéj posadzce, a zatrzymawszy się pod wyobrażeniem Samsona, walącego olbrzymią świątynię, począł się mu przypatrywać.

Tymczasem margrabina pisała daléj:

...Raz tylko błysnął mi promień słońca, a byłeś nim ty, kochany Arturze!... Och! moje serce nigdy nie zapomni ciebie; tyś jeden tylko kochał mnie na tym świecie... Moje serce biło tylko dla ciebie... Prócz ciebie wszystko inne było tylko więzami, nieznośnemi więzami!...“

Chciała jeszcze daléj pisać, ale margrabia chrząknął kilka razy, a chodząc po komnacie, tak głośno suwał nogami, iż wreszcie zdecydowała się położyć pióro, a dokończenie kartki na czas inny odłożyć.

Widząc to margrabia opuścił Samsona, przeszedł mimo św. Jana i zbliżył się do krzesła żony. Margrabina siedziała rozmarzona i słysząc zbliżającego się do niéj męża, wyciągnęła ku niemu rękę.

— Droga Mińciu—rzekł margrabia ściskając ją z angielska za rękę — chciałbym z tobą tutaj na osobności pomówić.

Margrabina zatrzymała jego rękę w swojéj białéj zgrabnéj rączce, podniosła ją do ust i wycisnęła na niéj gorący, namiętny pocałunek.

— O mój drogi Achilu—rzekła z wielkiém wzruszeniem—dobrześ zrobił, żeś przyszedł, gdybyś nawet żadnego nie miał interesu. Nie uwierzysz, czém dla mnie jest twoja obecność. Miéwam takie smutne, okropne myśli—taki niepokój wre w méj duszy... Ale gdy ciebie widzę, to myślę sobie zaraz: „Nie jesteś siérotą na tym świecie — twój Achil kocha cię, on jeden mógł tylko uczynić cię szczęśliwą!“ Tak jest, jestem szczęśliwą przy tobie — szczęśliwą towarzyszką twego życia!

Pan Achil poprawił końców białéj chustki, musnął po twarzy ręką, czy gładko ogolona, a spojrza-

wszy z pod oka na biédnego Samsona, dźwigającego na swoich barkach całą olbrzymią kolumnę jakiéjś kamiennéj budowy, posunął kilka razy nogą po marmurowéj posadzce i rzekł:

— Za często słyszę to od ciebie droga Mińciu, abym mógł o tém wątpić.

— To było powiedziane z ironią, mój drogi—odparła żywo Hermina—czyż na to zasłużyłam?

— Bynajmniéj. Ale tak często mówisz mi o tém, żeś ze mną szczęśliwa, jakbyś sama chciała w siebie to wmówić.

— Niewdzięczny! — szepnęła Hermina z dziecięcym kaprysem.

— Czy dopiéro dzisiaj widzisz moję niewdzięczność?

— Nie, nie, tysiąc razy nie... To był tylko humor chwilowy, kochany Achilu. Ja bym była z tobą szczęśliwą nawet gdzieś w jakiéjś ustroni bezludnéj, bez świata, bez ludzi.

— Właśnie możesz tego dać dowód... Dąbczyn nie jest wprawdzie ani za światem, ani nie jesteśmy tu bez ludzi, lecz jest zawsze ustroniem, w którém będziemy musieli na długi czas zamieszkać.

— Ach, co mówisz, Achilu! W Dąbczynie długi czas zamieszkać!

— Tak jest...

— Ach, to śmierć!

— Umrzemy oboje!

— Co ty mówisz!

— Mówię rzeczy bardzo romantyczne.

— To być nie może... to być nie może... w Dąbczynie długi czas mieszkać!

— Nie mamy innego wyboru.

— Wszak mówiłeś mi, że tylko lato tutaj przepędzimy.

— Boś nie miała wcale ochoty jechać tutaj.

Margrabina spojrzała z wyrzutem na męża. Dwie łzy zakręciły się w jéj oczach.

— Tyś mnie oszukał, Achilu!—rzekła.

— Spodziéwałem się, że mi przebaczysz, Hermino!...

Margrabina przyłożyła rękę do czoła, milczała chwilę a zwracając się nagle do męża, ścisnęła go za rękę i rzekła:

— Przebaczam ci, jak zawsze tak i teraz, bo słaba kobiéta tylko przebaczać może.

— A więc teraz „en ami“ możemy pomówić między sobą o różnych interesach.

Rzekłszy to margrabia, oglądnął się za krzesłem, a przysunąwszy je do krzesła żony, usiadł na niém i tak rzecz zaczął:

— Dostałem dzisiaj listy od Warnera. Są one dla nas smutne, bardzo smutne.

— Jakto, czy kto umarł?

— Pisze mi właśnie, że długów naszych na żaden sposób umorzyć nie może — odpowiedział margrabia z dowcipnym uśmiéchem na twarzy.

— I cóż ztąd? — zapytała z nieukontentowaniem Hermina.

— Nic ztąd—odpowiedział margrabia.—Czy będą długi, czy nie będzie długów, Dąbczyńscy zawsze będą tém, czém byli.

Rzekłszy to, wyciągnął nogi, odziane w popielate pantalony, i począł im się z upodobaniem przypatry-

wać. Szukał on zapewne owéj pięty achilesowéj, a nie znalazłszy jéj, uśmiéchnął się i rzekł:

— Długi nam wcale nie szkodzą, moja droga.

— I ja tak myślę.

— Ale jest jedna nieprzyjemna strona takiego stanu rzeczy.

— A ta...

— Iż długów już więcéj robić nie można.

— A to dlaczego nie?...

— Dlatego, że kupcy i lichwiarze wcale inną mierzą nas miarą. U nas złoty kołniérz, złota rękojeść u szpady, srébra stołowe, konie, zamek, etc., wszystko to jest tylko *ozdobą* naszéj osoby. U nich nasza *osoba* nic a nic nie znaczy. Oni nasz złoty kołniérz, naszę szpadę, srébra i zamek zamieniają na wartość złota i według téj wartości nas mierzą.

— Pospólstwo!

— Tak samo, jakby wartość obrazu Rafaela chcieli oceniać według złotych ram jego!

— Ciemnota!

— Tak jest, ale cóż z nimi poradzisz? Oni siedzą na swoich workach i mówią, że nie dadzą!

— Wszak dobra nasze...

— Mówią, iż przedłużone.

Margrabina spuściła głowę i zamyśliła się... Margrabia wstał z krzesła, a przechadzając się po komnacie, spoglądał spod oka na nieszczęśliwego Samsona...

— I niéma na to jakiego sposobu, aby tych ludzi przekonać?—ozwała się margrabina.

— To są ludzie nadzwyczaj uparci, moja droga— odparł krótko małżonek.

— I cóż ja ci poradzę, kochany Achilu!— rzekła margrabina, wstając z fotelu i kładąc białą rączkę na ramieniu małżonka — cóż ja, słaba kobiéta, mogę poradzić, ja która tylko mam serce, aby kochać i cierpiéć!...

— Właśnie od ciebie, kochana Mińciu, wszystko teraz zależy.

— Jakto?

— Dziś, jutro, przyjedzie do nas hrabia Leon.

— A wiém już, wiém! — krzyknęła margrabina, klaszcząc w dłonie i biegając po pokoju jak małe dziécię.

— I cóż wiész?—zapytał zdziwiony margrabia.

— Otóż przeczułam sercem wszystko... Widzisz, mój drogi, wszystko przeczułam kochającém sercem, odgadłam twoje myśli, twoje życzenia... Widzisz, jak ja cię kocham!

— Cóż odgadłaś?

— Wiém, iż pragnąłbyś aby hrabia Leon mógł zostać mężem Janiny.

— Niech cię ucałuję, droga Mińciu!... Ale potrzeba Janinę na to przygotować.

— O wszystkiém myślałam, o wszystkiém, a nawet już w tym celu byłam dzisiaj w Czarnowodach!

— W Czarnowodach, w tym jezuickim domu!

— Posłuchaj, posłuchaj, wszystko ci opowiem.

Mówiąc to, przyciągnęła męża do stołu marmurowego i posadziła go w fotelu. Sama usiadła przy nim na małym taboreciku. Jéj wzrost mały, żywe, gorączkowe ruchy, nadawały jéj w półcieniu pozór młodéj wnuczki, klęczącéj u nóg dziadka.

— Otóż naprzód, kochany Achilu, muszę ci powiedzieć, że Ninka nasza to szczególne dziecko. Uparta, a nadewszystko trudna do zrozumienia. Żaden mężczyzna jéj nie zrozumié, oko matki zaledwie zdoła dojrzéć niektórych sprężyn, które jéj sercem poruszają. Hrabia Leon był z nami tamtego roku w Ostendzie i wyobraź sobie, żadnego wrażenia na niéj nie zrobił.

— Możnaby jakoś zgrabnie tę rzecz poprowadzić.

— Ale co gorsza, jak się z wszystkiego zdaje, ona na nim również najmniejszego nie uczyniła wrażenia. Dowiadywałam się postronnie — nawet mu się wcale nie podobała...

— Nie podobała? Janina z Dąbczyńskich? — zawołał margrabia, wyciągając swoje popielate nogi i przypatrując się im z upodobaniem, ale już nie takiém, jak przed chwilą.

— Tak jest, wcale mu się nie podobała. Nawet w liście pisał do ciebie, iż krótki czas tylko zabawi w Dąbczynie.

— To prawda...

— Otóż wymyśliłam plan przytrzymania go tutaj, a tymczasem wszystko by się ułożyło.

— Jaki plan?

— Zaprosiłam do nas majorowę. To śliczna. młoda kobiéta. Mąż stary... a ona ma coś w oczach tak pociągającego, tak miłego... a jakie serce! Czyste, dziewicze jak anioła!...

— I cóż stąd?

— On się musi nią zająć.

— A jakaż korzyść stąd dla Janiny?

— Że trochę oboje poszaleją, wreszcie obaczą, iż tak długo trwać nie może, a hrabia Leon chcąc się uleczyć i znowu przyjść do równowagi, pójdzie z piérwszą lepszą do ołtarza. Wtedy będzie mojém staraniem, aby tą... niebył nikt inny tylko Janina.

Margrabia przyłożył rękę do ręki i począł palcami obracać.

— Hm!—rzekł po chwili—ten plan może być nie zły, ale zawsze hazardowny, jeśli majorowa...

— O wcale nie, zbadałam ją doskonale. To opoka, na której pokruszą się wszystkie strzały...

— Czyż nie byłoby lepiéj dać tę rolę Tereni?

— Ach nie, to idyotka. A zresztą pod tym względem jest to dziewczyna, od której, gdy kogo schwyci, już się pewnie nikt nie odczepi. To kotka z utajonémi szponami.

— A cóż na to Janina?

— Janina, mówię ci, to szczególne dziecko. Jéj serce ma więcéj kaprysów od wszystkich kobiét na świecie. Ona kochać nie zacznie z piérwszego, czystego popędu, ale uczyni to z zazdrości, z gniewu, z uporu. Jakiś kapryśny żart, jakaś niegrzeczność jéj mimochodem powiedziana, może w jéj sercu rodmuchać dziwną namiętność, która w końcu przechodzi w miłość szaloną, w miłość bez granic. Gdy pozna, że hrabia gdzieindziéj się zwrócił, będzie za nim szalała i szaleństwem swojém zmusi go do wzajemności.

Margrabia słuchał z uwagą wykładu żony, obracając palec w koło palca, a gdy dostatecznie jéj słowa w głowie rozebrał, rzekł do niéj:

— Wszystko to być może, kochana Hermino, ale zawsze jest to eksperyment i nic więcéj. Może się

udać, może się nie udać. A zresztą, jeżeli Janina taką jest, jak mi ją malujesz, to obawiam się o nię...

— Ach! wy mężczyźni nie znacie kobiét,—zawołała margrabina, załamując ręce—wy nie wiécie, czego wam do własnego szczęścia potrzeba. U was kobiéta powinna być dobrą na piérwsze wejrzenie — dobrą po ślubie, zawsze dobrą —nieznośnie dobrą aż do śmierci. Wtedy piszecie jéj nagrobek: dobra! Ach, to śmierć taka pewność na całe życie! Kobiéta powinna być jak kameleon: powinna się mienić w tysiączne barwy, powinna niepokoić was i dręczyć niepewnością aż do ostatka. Tylko taka kobiéta może być kochaną i pożądaną, bo wasza dobra, wiecznie jednako staje się u was sprzętem domowym, którego jesteście najspokojniejszymi, aż do znudzenia właścicielami!

— Jest w tém niezła filozofia, byle się tylko skończyło na pozorach — rzekł margrabia, kręcąc nieustannie palec koło palca.

— Może mi masz co do zarzucenia?

— Wcale nie... ale należałoby Janinie coś powiedzieć.

— Zaraz idę do niéj i każę dawać herbatę.

Św. Jan Chrzciciel z białym barankiem u stóp, nasłuchawszy się aż do znudzenia tajemnic domowych, ruszył się znowu ze swego miejsca, aby odchodzących na herbatę wypuścić. Zbliżając się do drzwi, margrabia spojrzał jeszcze raz na nieszczęśliwego Samsona, którego na długi czas pozbawiła siły kochająca kobiéta.

Podczas téj rozmowy poufnéj, toczyła się w drugiém skrzydle pałacu nie mniéj ciekawa gawęda.

Był to mały pokoik z żółtem obiciem. Na ścianach wisiały obrazy, przedstawiające wiosnę ze wszystkiemi jéj kwiatami. Posadzka zasłana była kobiercem o żywych, jaskrawych kolorach. Wszystko było tu pełne życia, drażniło oczy, zmuszało pierś do głębokiego oddechu. Mała kanapka, wybita czerwonym aksamitem i takież dwa fotele stały przy ciemnym mahoniowym stoliku. Jak w tamtym pokoju miało wszystko na sobie barwę reminiscencyi, tak tutaj wrzało życie, była obecność. Zachodzące słońce rzucało różowe promienie w sam głąb pokoju, i jaką śliczną, przezroczystą mgłą otaczało dwie piękne, młode kobiéty.

Janina chodziła szybko po kobiercu. Jéj ruchy żywe i namiętne oznaczały niepokój, jéj oczy biegały z przedmiotu na przedmiot, wydając z siebie jakiś dziwny blask fosforyczny. Jasno orzechowa suknia, z wyciętym wysoko gorsem, podnosiła lśniącą białość jéj ciała, i za każdém poruszeniem okazywała piękne kształty wysmukłéj, elastycznéj kibici.

Na kanapie siedziała Terenia w białéj sukni z niebieskiém ubraniem. Jéj twarz śniada, chorowitéj przezroczystości, odbijała jakoś demonicznie od białéj sukni. Duże oczy patrzyły bezmyślnie przed siebie, żadnego nie było w nich wyrazu. Biédna była to i nieszczęśliwa istota. Daleka jakaś krewna margrabiny, nie miała ni ojca ni matki, ani majątku. Powszechnie miano ją za idyotkę.

— Czy sądzisz—rzekła szybko i dźwięcznie—że lepiéj, żem wstała z łóżka?

— Nie wiém — odpowiedziała Terenia, patrząc ciągle przed siebie.

— Ty nigdy nic nie wiész, moja Tereniu—mówiła Janina, a oczy jéj ciemne zaświéciły fosforem—ty jesteś szczęśliwą, ty nie wiész, czy żyjesz, czy śnisz — a mnie już boli to życie.

— Dlaczego cię boli? — zapytała powolnym głosem Terenia i podniosła głowę.

— Bo on mnie kochać nie chce, patrzy z ironicznym na mnie uśmiéchem, gdy mu się prawie sama oświadczam.

— Nie musisz go dobrze kochać, inaczéj nie oparłby się tobie!

Janina klasnęła w dłonie i przyskoczyła do Tereni.

— Pójdź, niech cię ucałuję! Zkąd tobie takie słowa! Nigdy nic podobnego z ust twoich nie słyszałam... Powtórz mi, proszę cię, raz jeszcze. Może nauczyłaś się z książki?

— Moja książka to moje serce...—odpowiedziała powolnym głosem Terenia, przykładając z pewnym wyrazem omdlenia drobną, kształtną rączkę do wzniesionéj piersi.

— Tereniu, Tereniu! — krzyknęła Janina — ja cię nie poznaję! co się z tobą stało?

— Wczoraj, dzisiaj czuję się jakoś lepiéj, zazwyczaj ciśnie mi coś na sercu.

— Ach, moja droga, nie uwierzysz, jak to boli być wzgardzoną!

— Prawda, to boli! — odpowiedziała Terenia, a ożywiony na chwilę jéj zwrok padł znowu bezmyślnie na ziemię.

— Nigdy jeszcze tego nie doświadczałam.

— Ach, to boli!

— Dotąd miałam pogardę dla drugich, a dzisiaj on...

— On nie chce cię kochać?

— Nie, nie... obojętną mu nie jestem — zawołała Janina, chodząc szybko po pokoju — nie jestem mu obojętną. Spostrzegłam to, gdyśmy ostatnim razem rozmawiali z sobą. Ale on się zmusza do obojętności... on chce mnie poniżyć... on chce, abym ja piérwsza przed nim się ugięła... Ale nie, to się nigdy nie stanie... On musi upaść przede mną, a wtedy zemszczę się!

— Zemścisz się? — krzyknęła Terenia i podniosła głowę:

— A jużci zemszczę się — odpowiedziała Janina, śmiéjąc się i klaszcząc w dłonie — zemszczę się strasznie i okrutnie, bo mu powiém... że go kocham!

Wymówiła to słowo głosem, w którym ozwały się wszystkie struny duszy namiętnéj. Taki głos wciśnie się w każde serce i pozostanie tam na zawsze, jako urywek owéj melodyi niebieskiéj, któréj przez długie wieki przysłuchują się aniołowie i wiecznie jéj pragną...

Pobiegła szybko do stolika, na którym leżała biała, batystowa chustka; bo łzy puściły się z jéj oczu.

— Ach, Tereniu! gdybyś ty kochała! — mówiła wśród łez Janina.

— Ja kocham!—odpowiedziała Terenia i utopiła wzrok gdzieś w powietrze.

— Ty kochasz? Któż jest twoim kochankiem?

— On...

— Co za on?

— Nie znam go...

— Ty go nie znasz, a kochasz?

— Bo bez miłości żyć nie mogę.

Janina otarła oczy i zdziwiona spojrzała na biédną idyotkę.

— I nigdy nie widziałaś go?—zapytała po chwili.

— Czasem widzę go...

— Gdzie go widzisz?

— Widzę go na niebie, gdy słońce wschodzi — wieczorem widzę go na kwiatach, gdy pada rosa niebieska!

— Ach, mówisz od rzeczy!

— Widzę go na fali wody, gdy z mgłą poranną wstaje i wznosi się ku niebu.

— Bredzisz, moja droga!

— I często słyszę głos jego.

— Słyszysz go?

— Słyszę, gdy jest cisza w naturze... w sercu mojém rozmawia ze mną...

— Śnisz wtedy...

— Słyszę go w harmonii liści, gdy wiatr niémi porusza...

— Ach, moja Tereniu, tyś chora! — krzyknęła Janina.

— Słyszę go w kościele, gdy się modlę do Boga, który jest opiekunem siérót—odparła z wilgotném wejrzeniem siérota.

— Nie mów mi więcéj — rzekła Janina — bo mi się straszno robi przy tobie.

— Ja się niczego nie boję, bo on jest przy mnie...

Janina wzdrygnęła się i spojrzała po ciemnych kątach pokoju. Słońce skryło się za ciemną chmurę wieczorną, tylko różowy odblask drżał jeszcze po żółtych ścianach i rysował na nich jakieś dziwne, fantastyczne obrazy. Biédna siérota wlepiła wzrok

swój w tę dziwną grę światła i cieni, a zdawała się odczytywać niezrozumiałe jéj hieroglify. Jéj duże, błękitne oczy ożywiły się; na jéj blade, zwiędłe lica wystąpił żywy rumieniec. Janina uczuła trwogę, jaką zazwyczaj nas przenika na widok obłąkanych.

— Cóż ci to, Tereniu?—zapytała z trwogą Janina.

— Nic mi... jestem szczęśliwa.

— Szczęśliwa?...

— Bo on mnie kocha — czuję, że się do mnie zbliża.

— Wszak go nie znasz...

— Nie znam go, ale go kocham, kocham całą duszą i wiém, że go spotkam w życiu.

— Może to będzie inny.

— Ja innego kochać nie mogę...

Oczy idyotki tak dziwnym zabłysły ogniem, taki dziwny wyraz ekstazy wystąpił na jéj twarz, ukoloryzowaną w najżywsze barwy, tak nagły i gorączkowy był ruch jéj ręki, iż Janina cofnęła się kilka kroków od stolika do dzwonka—gdy nagle drzwi otworzyły się, a do pokoju wszedł najprzód służący, niosąc zaświeconą lampę, a za nim margrabina.

Zaledwie zamknęły się drzwi za służącym, Janina chciała opowiedzieć matce całą swoję przygodę z Terenią, gdy ta nagle podniosła się z kanapki i rzekła do margrabiny:

— Pozwól ciociu, iż pójdę i przyrządzę herbatę.

Mówiąc to, miała Terenia tak zwyczajny wyraz na twarzy, jakby przed chwilą żadnego silniejszego nie doznała wzruszenia. Ta sama obojętność i apatya w jéj oczach, ta sama omdlałość i znużenie we wszyst-

kich jéj ruchach, które zawsze cechowały tę biédną, nieszczęśliwą istotę.

— Dobrze, moje dziécię—rzekła margrabina, całując ją w czoło — idź i przyrządź nam herbatę, a my tam zaraz przyjdziemy.

Terenia zwróciła się do drzwi, a matka i córka patrzyły z różném wzruszeniem za odchodzącą, któréj biała postać chwiała się jak widmo ducha i zniknęła śród ogarniających ją ciemności przyległego salonu.

— Ach, ta Terenia, droga mamo! — ozwała się Janina, tuląc się do łona matki — ta Terenia straszy mnie swemi dzikiemi konceptami.

— Musisz miéć wzgląd na to — odparła matka, patrząc z macierzyńską czułością w oczy jedynaczki— musisz miéć wzgląd na to, iż Terenia jest biédném, upośledzoném od natury dzieckiem... Cóż ci to, Nińciu, ty płaczesz?

— Coś mi smutno, droga mamo! — odpowiedziała Janina, przyciskając twarz do piersi matki.

Margrabina pocałowała w czoło łkającą córkę, przyciągnęła ją do kanapki, a usiadłszy przy niéj, rzekła do niéj z macierzyńską pieszczotą:

— Uspokój się, moja Nińciu, będziesz miała oczy czerwone, a wiész, że przy herbacie nie będziemy sami. Pan Jerzy...

— Droga mamo—przerwała córka, rzucając się jéj na szyję—ja jestem nieszczęśliwą!

I gorącemi pocałunkami poczęła okrywać twarz margrabiny.

— Uspokój się Nińciu, moje drogie dziécię — tuliła ją margrabina, poprawiając jéj włosy — właśnie

chcę z tobą pomówić, jako matka pragnąca szczęścia swojéj jedynaczki.

Janina otarła oczy, a chociaż piękna jéj pierś podnosiła się i opadała wewnętrznym spazmatycznym płaczem, twarz jéj jednak miała pozór spokoju.

— W twoim wieku, droga Ninciu, — zaczęła matka — może być tylko jedno nieszczęście. Wiem ja o tém nieszczęściu i dlatego mówię z tobą.

Twarz Janiny oblała się szkarłatnym rumieńcem. Z niepokojem zwróciła oczy na matkę. Ale margrabina nie patrzyła w téj chwili na córkę. Zbiérała ona w duchu myśli, których właśnie miała udzielić swojéj jedynaczce.

— Każda panna w twoim wieku czuje się nieszczęśliwą—mówiła daléj margrabina. — I bardzo słusznie. Jest to przygotowanie do nowego życia, czyli innego jego okresu. Ty pragniesz miłości, i jak samotna po wodach potopu latająca gołębica, oglądasz się za zieloną gałązką, za różczką szczęścia. Dotąd jeszcze nic nie widzisz prócz mgły i wody. Ale miéj cierpliwość, pod tą mgłą kwitnie tam dla ciebie palma szczęścia.

— Ja nic nie widzę—wyszepnęła Janina, wspomniawszy sobie biédną idyotkę.

— Ale oko matki kochającéj widzi daléj i lepiéj.

— I kogóż mama tam widzi? — zapytała z lekkiém nieukontentowaniem kapryśna jedynaczka.

— Hrabia Leon...

— Ach, to nieznośny człowiek, mamo! — przerwała Janina.

— Cieszę się, że tak mówisz, moja Ninciu!

— Cieszy się mama?

— Bo jestem pewna, że go będziesz kochała.

— Ja?... ja będę go kochała?... Jak to wiész naprzód, kochana mamu!

— Wiem, bo znam ciebie, moja ty kapryśna jedynaczko—odpowiedziała matka, całując ją w czoło.

Janina zamyśliła się... Słowa matki potrąciły coś w jéj głowie, o czém nigdy nie myślała. A potrącenie to byłoby ją może doprowadziło do wielkiéj zbawiennéj prawdy, gdyby matka chciała jéj zostawić więcéj czasu do swobodnego rozmyślania.

— Ale jako matka winnam ci dać kilka napomnień, kilka wskazówek, bez których można popaść w błąd, który się potém całém życiem nie da naprawić.

— Jakież są to wskazówki?—zapytała ciekawie córka.

— Naprzód trzeba uważać, który mężczyzna może być twoim mężem.

— A jeśli go znajdę?

— Jeśli go znajdziesz, przedewszystkiém nie trzeba się mu narzucać. Nie zaszkodzi wcale, jeżeli na pozór będziesz trochę obojętną, a nawet zdawać się będziesz jego względy odrzucać.

— To sobie pójdzie z Panem Bogiem, a ja wraz z moją dyplomacyą zostanę na lodzie— wtrąciła kapryśna jedynaczka, ocierając resztki łez...

— Nie trzeba przeciągać tylko struny — rzekła matka z miną wytrawnego dyplomaty — bo pęknie... A jeśliby on zrazu był obojętny, to w takim razie możesz piérwsza uczynić niektóre kroki zaczepne; ale gdy obaczysz, iż idzie za tobą, wtedy natychmiast musisz zmienić rolę i być dlań zimną, obojętną. Bo gdy mężczyzna raz jest w zapędzie, to upór z twojéj strony tém wię-

kszą dla ciebie wzbudza miłość. To miéj sobie za regułę: mężczyzna powinien sobie *zdobyć* ciebie; tyś powinna *zejść* do niego ze swego tronu, zejść na jego usilne prośby i starania, bo tylko wtedy będziesz panią jego serca. A jeśli kobiéta sama zaślepiona szaloną miłością mężczyznę zdobywa, niech będzie pewna, iż nigdy z nią się nie ożeni. Ona będzie wtedy jego wierną przywiązaną, a nawet wygodną służebnicą — ale on jéj kochać nie będzie jako królową swego życia.

Janina pochyliła na piersi zamyśloną główkę i zadumała się... Z macierzyńską rozkoszą patrzyła margrabina na tę piękną, smukłą postać, na przecudne białe ramiona, które za każdém wezbraniem piersi zaokrąglały się do kształtu kuli.

Śród téj dla serca jéj tak miłéj kontemplacyi wszedł służący, oznajmując, iż herbata gotowa i że doktor Jerzy już czeka w salonie.

— Pójdźmy, mamo!—rzekła Janina, zrywając się szybko z kanapki i biorąc matkę za rękę.

— Jest tam Terenia—odparła margrabina.

— Pójdźmy!—przerwała córka, a twarz jéj przybrała wyraz namiętnéj niecierpliwości.

— Gdybym wiedziała, że ci będzie lepiéj do wieczora, nie byłabym go prosiła... a tak...

— Spieszmy się, mamo! Terenia nie da sobie rady.

— Nie lubię towarzystwa ludzi, którzy nie należą do naszego koła. Z nimi tak trudna konwersacya. Nie wiedzieć o czém mówić.

— Przecież pan Jerzy tyle ma wykształcenia...

— To prawda... Ale to zawsze żenuje mnie i fatyguje...

Tymczasem z wazonika, stojącego przy oknie, zerwała Janina piękną, rozkwitłą różę, a umocowawszy ją na piersi, pociągnęła za sobą matkę do pobocznego salonu, z którego wnijście prowadziło do wielkiéj, tak zwanéj marmurowéj sali.

Tam zastali już całe domowe towarzystwo. Margrabia siedział w białéj chustce, w ciemno-tabaczkowym fraku i ze zwykłém upodobaniem patrzył na swoje kształtne popielate nogi. Na jego twarzy panował uśmiéch spokojnego, niezachwianego szczęścia. Terenia naléwała herbatę, a za nią siedział nieunikniony przy wiejskiéj herbacie ksiądz proboszcz dużą, czerwoną chustką ociérający kroplisty pot z czoła.

Jerzy stał opodal, a trzymając w ręką album, patrzył ponad ryciny we drzwi, które się właśnie teraz otwiérały...

V.

Nazajutrz był dzień piękny, pogodny. Słońce schylało się już ku wieczorowi. W powietrzu była cisza uroczysta. Za to na gałązkach drzew świergotało ptactwo jakąś pieśń wesołą i z drzewa na drzewo podawało sobie dobre wieści. Kilka białych chmurek uwisło na wieży Dąbczyna; jedna spuściła się aż do okna starożytnéj komnaty i patrzyła ciekawie i wesoło na herb starego Jarosta. Lipy i kasztany szeleszczą dziwnie przed zamkiem, smukłe trawki opiérają się jedna na drugą i szepczą sobie coś do ucha, a cieszą się... Nad brzegiem Czarnowód orze rolnik;—kilka razy spojrzał na fale jeziora, spojrzał na gałęzie drzew, na chmurki nad wieżą zamkową, spojrzał w około siebie—ale nic nie ujrzał, nic nie usłyszał. A przecież jest coś w powietrzu, co zdaje się mówić i szeptać... Ale rolnik nic nie widzi, tylko słońce, które się zniża ku wieczorowi; widzi staw błękitny, drzewa i białe chmurki nad wieżą zamkową...

Od wschodu zabrzmiała trąbka pocztowa. Rolnik zatrzymał pług i spojrzał na dorożkę, która zwolna toczyła się po drodze piaszczystéj.

W dorożce siedział mężczyzna mający około lat 30-tu. Miał jasne włosy, ciemne gęste brwi, pod których strzelały bystre, ciemne oczy. Wyraz twarzy był mężki i silny: koło ust zarysowywał się lekki cień smutku, lecz z całą twarzą był jakoś w nieporozumieniu, która oznaczała wesoły, otwarty umysł. Patrzył przed siebie oczyma na pół zmrużonemi, obojętnemi, jak człowiek, który wiele już widział i dla którego nic niema nowego. Na koźle siedział stary sługa, którego twarz w tak dziwne ułożyła się fałdy, jakby od urodzenia milczał i swojéj fizyognomii w żaden ruch nie wprawiał. Był to istny obraz wiecznego milczenia.

Droga szła ponad brzegiem stawu. Konie postępowały zwolna w grząźkim piasku, a podróżnemu wcale nie chodziło o pośpiech. Oparł się wygodnie o poduszki dorożki, paląc z konfortem amerykańskie cygaro.

— Cóż, Soroka! — zawołał po chwili na służącego—obiecałeś wyspowiadać się tutaj... Roztrząsnąłeś sumienie?

Ułożona w podłużne fałdy twarz starego Soroki poruszyła się trochę; z pod siwych, obwisłych wąsów wydobył się jakiś szmer, głuchy, niezrozumiały, i znowu wszystko ucichło.

— Cóż cię tam znowu napadło, Soroka! — ozwał się podróżny, który, jak widać, począł się nudzić z własnemi myślami.

— Napadło, napadło—mruknął stary; — nietylko mnie napada, napada i drugich.

Podróżny uśmiéchnął się; widać było, że ta poufna gawędka poczyna go bawić.

— Więc sądzisz, że mnie napadło, kochany Soroczko? — rzekł podróżny, wydmuchując całą chmurę dymu.

— A jużci nie mnie — odburknął Soroka,—bo ja ot... Soroka, a panycz pan...

Podróżny rzucił cygaro i począł gwizdać aryą z „Cara i cieśli.“ Soroka obrócił się półtwarzą, okazał grube fałdy milczącéj swojéj fizyognomii, pokiwał głową i mruknął:

— Już to ostatnie głupstwo, co robię! Będę miał rozum, będę—bo już czas.

Rzekłszy to, począł zwolna układać inaczéj twarz pomarszczoną. Spływające na dół wiecznego milczenia fałdy zaczęły się powoli podnosić, zaokrąglać; szérokie jego usta zwężały się coraz bardziéj, przeszły z elipsy w małe okrąglutkie kółko, z którego nagle wyleciała ulubiona jego melodya. Zrazu gwizdał ciszéj, lecz w drugim i trzecim takcie gwizdanie stało się tak głośne, iż się po wodach stawu rozlegało.

Był to jakiś oryginalny, kapryśny dyalog starego sługi ze swoim trzydziestoletnim „panyczem“. Rozumie się, że arya opery musiała ustąpić silnéj, stepowéj dumie. Podróżny roześmiał się i zapalił świeże cygaro, gdy tymczasem Soroka, nie zważając wcale, co się za nim dzieje, zwiesił głowę i gwizdał daléj. Gwizdał sobie niby bez celu, ot tak, dla rozrywki, a jednak myślał sobie w duchu stary:

Tam za horu dudka hraje,
Diwcze mowczy, a wsio znaje!...

Więc gwizdał stary Soroka coś o Ukrainie, krasawicy, o siedmiu porohach, o mogiłach, gwizdał o starym

swoim panu, o siwym asawule z białą nóżką, o stepie i o trzech krzyżach na cerkwi. Nieco ciszéj wygwizdał jakąś piosnkę miłosną o czarnobréwie i o Kozaku Sołowiju, a wszystko to było smutne, rzewne. Wreszcie machnął ręką, zakończył jakimś rozpaczliwym, wysokim tonem, aż się pruski pocztylion przestraszył, a otarłszy oczy ręką, obrócił się znowu półtwarzą do „panycza," aby widziéć, jakie wrażenie zrobiła na nim jego „dumka." Ale „panycz" palił sobie w najlepsze cygaro i wcale nie zdawał się marzyć o krasnéj Ukrainie, ani o stepach i trzech krzyżach na cerkwi. Soroka opuścił znowu fałdy swojéj twarzy, obrócił się ku koniom i milczał, zgarbiwszy się jak wielbłąd, co zawsze jego zły humor oznaczało.

Podróżny uśmiéchał się, patrząc na kaprysy starego sługi, który jakkolwiek miał twarz milczącego człowieka, lubił jednak, gdy do niego mówiono.

— Soroka!—zawołał po chwili podróżny.

Stary niby od niechcenia obrócił się półtwarzą.

— Coś to ty mi teraz wygwizdał, stary?

— Ja... ot z nudoty, panyczu — mruknął Soroka, niby niechętny rozmowy, a wewnątrz biło mu serce z radości, że „panycz" jego dumkę zrozumiał. I pomyślał sobie w duchu stary o Ukrainie:

Tam za wodu dudka hraje,
Diwcze mowczy, a wsio znaje...

— Słuchaj Soroko, ja ci powiem, coś ty mi gwizdał!

— Ja-bo panyczu nic sobie nie „dumał."

— Kłamiesz stary — rzekł z uśmiéchem podróżny. — Tyś mi chciał powiedziéć, że niéma ziemi nad

Ukrainę, że *Soroka* *), na któréj cię mój ojciec dziéckiem znalazł, to najpiękniejsza mogiła na całéj ziemi; że niéma konia nad Asuwałę z białą nóżką, niéma piękniejszego widoku nad step rozłożysty, i niéma kościoła nad cerkiew z trzema krzyżami!... Prawda, Soroka, że to chciałeś mi powiedzieć?

Stary Ukrainiec poczérwieniał ze wstydu, jakby kto go złapał na złodziejstwie jakiém, a to tymczasem była tylko radość, że panicz jego „dumkę“ zrozumiał. Ale jako prosty Kozak uznał za rzecz przyzwoitą nie przyznać się do takiéj dumki, i rzekł:

— Oj, panyczu, to ja tak nie dumał!

— Przyznaj się stary!

— Ta...

— Już ja widzę po twoim garbie...

— Ta, panycz wszystko znaje...

— No, no, nie frasuj się! Gdy przyjedziemy do wielkiego miasta, to zapomnisz o mogiłach i trzech krzyżykach.

— Takoj to panyczu będzie zawsze na „czużyni.“

— Kupię ci pole, wystawię chałupę i będziesz jak w ojczyźnie.

— Ojczyznę daje Hospod-Boh! — mruknął stary Ukrainiec, obrócił się do koni i ani słowa już nie powiedział.

Tymczasem palił podróżny daléj cygaro, uśmiéchał się, patrząc na ruchomy garb starego Soroki, który sapał jak miech kowalski, i pluł na wszystkie trzy

*) *Soroka*, mogiła na Ukrainie.

części świata, tylko do swego „panycza“ ani razu się nie obrócił.

Teraz skręcała się droga aż nad sam brzeg stawu. Na środku wody okazała się mała wysepka, ocieniona przecudnie wielkiemi drzewami, których zielone gałęzie odbijały się na jasném tle wody. Zpomiędzy drzew wyglądały białe mury, ożywiając to ciche ustronie. Kilka kolumn starego kościołka zaglądało przez gęste liście, jak mury świątyni Wenery w poświęconym jéj gaju.

Za każdym krokiem otwiérał się coraz inny widok. Tam gruzy murów zczerniałych i chwastem porosłych; tu wieża na pół rozwalona lub krzyże pochyło stojące; tu znowu biała ściana kościoła z jakimś obrazem na środku... A wszystko to ujęte było w przezroczyste ramy liścia, wody i nieba, tworzyło piękny, zachwycający widok.

Wkoło była cisza przyjemna, zwierciadło stawu gładkie, spokojne, a z małéj zaczarowanéj wysepki dolatywał głuchy, harmonijny świérgot ptasząt i cichy szmér liści.

Nie podobna było nie użyć tego widoku, nie zatrzymać się w tém czarownem ustroniu. Jadącemu za granicę wydawał się ten kraniec ziemi rodzinnéj jak ostatni, gorący pocałunek kochanki, żegnający nas na długo, a może na zawsze!

Podróżny kazał pocztylionowi zatrzymać konie. Zlazł z dorożki i puścił się ku brzegowi. Soroka patrzył za nim mokrem okiem i łzy połykał.

Tymczasem znikł podróżny w gęstych zaroślach. Przedarłszy się nad sam brzég wody, szukał drogi, któraby mogła go zaprowadzić do téj zaczarowanéj wy-

sepki. Chciał z bliżka przypatrzyć się ruinom klasztoru. Ale do wysepki nie było z téj strony przystępu.

Już chciał powrócić do kapryśnego Soroki, gdy w ostoi za krzakami ujrzał łódkę, przywiązaną do wiosła, zatkniętego w grunt piaszczysty. Podróżny nie namyślał się wcale, wyjął wiosło z ziemi, odepchnął łódkę, a za kilka chwil kołysał się już na ciemnych falach Czarnowód.

W téj chwili zaszeleściały krzaki, zkąd łódka była odpłynęła, a z pomiędzy zielonych liści okazała się rumiana twarz starego ekonoma.

— Hej, hej!—wołał Mietlica, machając obu rękoma — proszę nazad, do brzegu, tu są państwo! Hola, héj!

Podróżny chciał improwizowanemu właścicielowi coś wytłumaczyć, a resztę jaką obiecanką dokończyć, gdy nagle za plecyma starego ekonoma okazały się dwa szérokie kobiéce kapelusze, a za niémi służący w zielonéj liberyi, niosący jakieś dziwne stoliki i stelaże.

Wobec takiéj rekwizycyi potrzeba było jak najpokorniéj broń złożyć i czemprędzéj oddać się na łaskę lub niełaskę tak licznemu nieprzyjacielowi.

Kilka ruchów wiosła, wykonanych z kawalerską zgrabnością, według wszelkich zasad nautyki, zbliżyło w oka mgnieniu zagrożoną łódkę do brzegu.

— Ah! *monsieur Léon!*—krzyknęła margrabina— co za dziwne spotkanie! Pan zawsze jesteś dziwakiem! miłym, romantycznym dziwakiem!

— Pani margrabina! — rzekł zdziwiony podróżny.—Czyż godzi się — dodał po chwili, ściskając jéj

rączkę — czynić na biédnych podróżnych tak niebezpieczne zasadzki?

— A godziż się dawać komuś tak złośliwą przestrogę, aby się nie zapędzał zbyt daleko, gdyż powrót, dajmy na to, do obowiązków naszych, mógłby się stać niemożliwym?... Muszę pana zaraz zaprezentować mojéj kochanéj sąsiadce, a właścicielce téj łódki, którą pan sobie przyswoić chciałeś, téj wody i tych prześlicznych ruin, do których pan zapewne zmierzałeś... pani majorowéj: Hrabia Leon, wielkie nic dobrego, ale obiecuje miéć dobre serce, gdy się postarzeje.

— Nie mogłaś pani lepiéj mnie opisać.

— Ale nim się pan postarzejesz, naszém staraniem będzie, to jest moiém i pani majorowéj, uczynić z pana znośnego i grzecznego kawalera.

— Co do mnie — odpowiedziała zapłoniona Zuzanna — nie ufam sobie, abym tak prędko mogła dojrzéć wad jakich...

— Ach, proszę cię—przerwała margrabina,—już piérwszą wadą pana Leona jest, że lubi brać to, co nie jest jego własnością...

— Pani pozwoli — przerwał z sarkastycznym uśmiéchem hrabia Leon — nie chciałem brać tego na własność, chciałem tylko...

— Widzisz go!—krzyknęła margrabina, klaszcząc w dłonie,—sam się odsłania, jakim jest. Na własność, na wieczną własność, to broń Boże. Ale tak, *pour passer le temps*... Panie Leonie, gdyby naprzykład ta łódka była sercem?...

— Tobym ją odwiązał od lądu, do którego była przykuta, i puściłbym na fale. Zdaje się, że to właściwe przeznaczenie łódki serca?

— A sam?

— Sam zostałbym, jak zwykle, na brzegu.

— Ach, co za wspaniałomyślność! Bezprzykładne zaparcie się!

— Bynajmniéj... to egoizm.

— Egoizm? Zrzekać się nagrody za dobre uczynki!

— Nie lubię kołysać się, doznaję zawrotu głowy.

— Ach! lękasz się pan, lękasz! Musiałeś już kiedy wypaść z takiéj łódki, albo pana niemiłosiernie wyrzucono.

Hrabia Leon cierpko się uśmiéchnął, a spojrzawszy na twarzyczkę margrabiny, spotkał się z jéj smutném, melancholijném wejrzeniem. Wydała mu się w téj chwili tak piękną i zajmującą, że oczu od niéj oderwać nie mógł, i nie zważał wcale, że winien był margrabinie odpowiédź. Spostrzegłszy to margrabina, uderzyła go z lekka ołówkiem, który w ręku trzymała, i rzekła:

— Panie Leonie, odwiązałeś pan jednę łódkę od brzegu, i na tém dosyć dzisiaj. Korzystamy więc z pańskiéj zręczności, którą dopiéro co podziwiałyśmy. Przewieziesz nas pan na drugą stronę. Będzie to piérwsza grzeczność błędnego rycerza dla mojéj pięknéj sąsiadki.

Zuzanna zapłoniła się, chciała coś odpowiedzieć, ale jéj myśli jakoś nie szykowały się dzisiaj. Tymczasem wprowadziła ją margrabina do łódki, a zręczny majtek w oka mgnieniu zawiózł je na sam środek stawu.

— Rysowałam te ruiny, panie Leonie — rzekła z melancholijném wejrzeniem margrabina;—wiele myśli budzą we mnie... We wszystkiém, co nas otacza, we

wszystkiém można się przejrzéć i widziéć, byle tylko myślą pochwycić... Ot naprzykład teraz przychodzi mi na myśl ta łódka, którą płyniemy po tych toniach bezgłębnych! Nie jestże to życie nasze? Tém milsze i pewniejsze, im milsza i pewniejsza jest dłoń naszego sternika. O! szczęśliwa kobiéta, która z ufnością może się oprzéć o ramię swego sternika.

Podczas téj na łódce rozmowy, która coraz bardziéj cichła i głuchła, stał Mietlica na brzegu pod krzakami i spod oka patrzył na podróżnego. Coś mu nie w smak było, coś poczęło go niepokoić. Spluwał co sekunda, stawał to na jednéj, to na drugiéj nodze, ale wszelkie te innym razem z dobrym skutkiem praktykowane środki, nic mu dzisiaj nie pomagały.

Wreszcie obejrzawszy się, zobaczył tuż za sobą starego Sorokę, który, zgarbiony jak wielbłąd, sapał z gniéwu i niecierpliwości, patrząc za odpływającą łódką. Twarz Soroki miała dla starego ekonoma tyle czegoś tajemniczego, że przemierzywszy ją zwolna okiem, zapytał cichym głosem:

— Wy zdaleka?

Syroka kiwnął głową i ruszył prawém ramieniem.

— Od Moskwy?—powtórzył ekonom.

Ukrainiec wskazał ręką bardziéj na południe.

— Byliście w wojsku?

Soroka ruszył głową na znak zaprzeczenia.

— Ale w świecie nie mało! — dodał gadatliwy Mietlica.

Stary Ukrainiec otworzył gębę i prawą rękę zrobił szérokie koło ponad samą głową ekonoma. Miało to oznaczać, że cały świat przejechał.

— Tam do kata! — mruknął Mietlica, prowadząc w odwrotnym kierunku rękę do swojéj głowy, aby złe jakie chęci nieznajomego odczarować. — Tam do kata! Czy gadać nie umié, czy co!... A wasz pan był zapewne ułanem?

Soroka zaprzeczył głową.

— No, już tego nie rozumiém — mruknął stary wachmistrz—a przysiągłbym, że był ułanem. Tak gracko brał się do wiosła, jak do lancy.

Rzekłszy to sam do siebie, spojrzał jeszcze raz na twarz starego Soroki, zgłębił w duchu jéj fałdy i zmarszczki, zmierzył pochyłe, garbate plecy, a zatrzymawszy się chwil kilka na białych, jakoś strasznie zamotanych wąsach, pomyślał sobie w duchu:

— Coś wiele ciekawych rzeczy jest w tych fałdach, w tym garbie i w tych wąsach pomotanych! Gdyby żona moja była kobiéta, jak Bóg przykazał, wziąłbym go zaraz na folwark, a wiém, że do białego dnia byłoby czego słuchać!

Gdy się to w Czarnowodach nad stawem działo, a rolnik, orzący z drugiéj strony wody, napróżno patrzył to na drzewa wysepki, to na białe chmurki, czepiające się wieży Dąbczyna, a nic obaczyć ani zrozumiéć nie mógł, chociaż coś przecież latało mu przed oczyma i uszyma, tymczasem w dworcu Czarnowodzkim nie było wcale wesoło. Tak zwane *spiritualia* wcale się dzisiaj nie udały. Margrabina wzięła z sobą majorową na przejazdkę po stawie; major zapaliwszy sobie fajeczkę, milczkiem wysunął się w pole: ksiądz proboszcz sprzeciwił się zaraz z góry piątemu rozdzia-

łowi poematu o Stefanie Batorym, w którym kilku Świętych pańskich, a patronów polskich, kłóci się między sobą o biédną Polskę, i dowodził, że w niebie niéma podobnych kłótni, jak w zaściankach szlacheckich: Jerzy siedział roztargniony, jakby sam jeden był na bożym świecie i nikogo nie słyszał. Widząc to wszystko, staruszek zamknął najprzód tekę, potém zamknął usta, a gdy „spiritualiści“ z izdebki się wynieśli, zamknął biédny i oczy, używając wcześniéj zwykłego snu poobiedniego.

Z Czarnowód do Dąbczyna prostą, polową drogą można było zajść za pół godziny. Jerzy lubił tę przechadzkę i prawie codziennie odbywał ją pieszo. Droga szła po największéj części brzegiem stawu.

Dzisiaj jakoś było mu spieszniéj, niż kiedykolwiek. Nie zatrzymywał się nigdzie, a nawet ominął zdala kopiec graniczny, na którym zwykł był zawsze stawać i okolicy się przypatrywać.

W Dąbczynie nic nie zastał nowego. W ubogiéj mieścinie było cicho i głucho. Przechodząc przez ulicę zamkową spojrzał na pusty, zamknięty dom poczciwego zégarmistrza, spojrzał na jego mniemanego nieprzyjaciela, który stał w progu sklepu w okrągłéj, aksamitnéj czapeczce, głaskał się po tłustym brzuchu i uśmiéchał się do przechodzących.

Wreszcie wszedł do swego mieszkania. Przystąpił szybko do stolika, na którym w małym, porcelanowym kubku stała róża blado-czerwona. Była to ta sama róża, którą wczoraj Janina zerwała i do piersi przypięła.

— Biédny kwiatku! — rzekł do siebie młody marzyciel—ty zwiędniesz i listki twoje opadną. Czy nie

zapomni o tobie ta, która cię zerwała, ozdobiła tobą pierś swoję, a gdy téj piersi było za duszno...

Jerzy przychylił usta do róży i dotknął się jéj bladych liści...

W téj chwili otworzyły się drzwi. Stary ogrodnik z zamku wszedł do pokoju.

— Cóż tam, Szymonie?—zapytał Jerzy, zarumieniwszy się, że ktoś go zeszedł w tak drażliwej chwili.

— Oj źle, panie — odparł ogrodnik — człowiek stary, ta i wszystko z nim starzeje.

— Jakże w ogrodzie będzie tego roku?

— Ot! pożal się Boże! Takie piękne *linodendron tulpifera*, com sam wypieścił własnemi rękami, kazał „jasny pan“ wyciąć, a owo czerwone nakrapiane *digitales rubicunde*...

— A to z jakiego powodu?

— Ot prawdę powiedziawszy, grymas pański i nic więcéj. Powiedział pan: „Szymonie, to wygląda jak na probostwie. Widzę, żeś się postarzał — trzeba mi będzie innego ogrodnika.“ Niechże sobie szuka innego, bardzo dobrze, ale ciekawym, czy drugi wychowa taki *linodendron tulpifera*, a takie *digitale rubicunde*... Ale, ale, miałem panu powiedzieć, że pan margrabia, a właściwie kamerdyner kazał mi tutaj wstąpić, abyś pan koniecznie dzisiaj przyszedł do zamku.

— Dzisiaj?—zapytał Jerzy, a twarz jego okrył lekki rumieniec.

— Dzisiaj w wieczór — odpowiedział ogrodnik, myśląc o swoim linodendronie.

— Czy będą goście?

— Będą państwo z Czarnowód, ze Stasznicy i z Konaszewa.

— Nikt więcéj?

— Będzie także jeden pan, co to z panną Janiną ma się żenić.

— Z panną Janiną?... co za pan?...

— Nie widziałem go, bo dopiéro co przyjechał. Radańska mówiła mi, że młody i bardzo ładny... Ot, kobiéty!

Jerzy przeszedł się kilka razy po pokoju, lecz spostrzegłszy, że ogrodnik dziwnie na niego patrzy, zatrzymał się, i udając obojętnego, mówił daléj:

— Cóż panna Janina na to?

— Panna Janina zawołała mnie do siebie, gdym się do miasta wybiérał, i rzekła do mnie: „No cóż, Szymonie, widziałeś tego pana, który chce, abym szła za niego?“ I tak się cieszyła, tak do góry skakała, a nie czekając, co ja na to odpowiém, wykręciła się jak fryga na jednéj nodze i znikła. Potém wyjrzała jeszcze raz oknem i zawołała za mną: „Spiesz się, Szymonie, a nie zapomnij!...“ Otoż teraz muszę jeszcze iść do tego Niemca, bo dzisiaj wszystkie pokoje mają być oświécone. Może będą zaręczyny.

Rzekłszy to, pokłonił się ogrodnik; jeszcze we drzwiach chciał coś o swoim linodendronie tulpiferze powiedzieć, ale wspomniawszy sobie świéce i kupca, z którym nieco trudną będzie miał rozmowę, urwał nagle i wyszedł.

Gdy Jerzy sam został, rzucił się na sofę i oczy ręką zasłonił. Tak siedział długo nieruchomy, a nawet nie było widać, że oddycha. Przed jego duszą przesuwały się różne znajome obrazy. Tam gdzieś daleko za Wisłą widział swój dom rodzinny. Dostatek i zamożność otaczały go zewsząd. Nad tym domem zawi-

sła czarna chmura—zawyła burza — a z téj burzy wyszedł biédny młodzieniec i własną ręką włożył sobie na głowę wieniec cierniowy... Daléj widzi rzeszę, rzucającą mu laury pod nogi, a w jego ręku harfa siedmiostrunna... Ta droga prowadzi go do szpitala, widzi chorych i kaléki, słyszy jęki boleści... A śród tych skarg i jęków, z białego obłoku spuszcza się kwiat róży i cudną swą wonią odbiéra mu zmysły...

Jerzy obudził się, wstał i przystąpił do stolika.

Na stoliku stała ta sama blada róża, którą przed chwilą się pieścił. Tylko jeden listek odpadł i leżał na stole niedaleko ryciny, wyobrażającéj kopią obrazu Herbsthofera.

Prawie wszystkie okna zamku były już oświécone, gdy Jerzy wszedł na dziedziniec. Po dziedzińcu wałęsało się kilkanaście liberyi, kilka karét i powozów stało przed starą, rozwaloną bramą.

Zamek miał dzisiaj jakąś smutną, posępną postać. Stojące na krużganku kaplicy figury zdawały się rozwijać swoje szaty kamienne i z otwartémi ramionami czekać na daleki, zwolna posuwający się obłok, na którym miały stąd uleciéć!... Po za jasno oświécone okna wyszczérzały się gruzy dawnych baszt i murów, a ten gwar wewnątrz nowego pałacu wydawał się jak cichy szept nieboszczyków...

Tak dziwne uczucia miotały sercem Jerzego. Wszedł na schody, prowadzące na piérwsze piętro. Na kurytarzu zaleciał go głos wesołéj rozmowy, w którym odróżnić mógł dźwięczny, namiętny głos Janiny.

W tak zwanéj sali marmurowéj zgromadziło się całe towarzystwo. Kilka statecznych dam siedziało na kanapie, daléj przy fortepianie uformowało się kółko młodszych, najgłośniéj szczebiocących, a mężczyźni ugrupowali się po kątach, opowiadając sobie różne nowiny.

Janina wyglądała prześlicznie. Jéj piękna, zarumieniona twarz miała jakiś blask eteryczny. Zdawała się być wesołą i nadzwyczaj rozmowną, a jednak lekki, prawie nieznaczny fałdzik na czole był oznaką, że tam w duszy nie była taka pogoda, jak na twarzy. Terenia siedziała przy oknie i jak zwykle patrzyła bezmyślnie przed siebie. Wszystkich zaś oczy zwracała dzisiaj na siebie majorowa. Jéj piękną twarz umilał uśmiéch łagodny, a zarazem bolesny, w niebieskich oczach drżało pragnienie ekstazy i zachwytów, jakich jeszcze nie znała młoda jéj dusza.

Margrabia stał niedaleko drzwi w białéj chustce, w ciemnotabaczkowym fraku, a układając w różne pozycye swoje popielate nogi, rozmawiał z jakimś wąsatym sąsiadem, który występując godnie, zwiesił był na atłasowéj kamizelce kilka funtów breloków, złożonych z najrozmaitszych narzędzi.

Margrabia chciał przyszłemu zięciowi ukazać swój dwór ze strony jak najświetniejszéj. Otoż i goście jego musieli dzisiaj poawansować do stopni różnych znakomitości.

Poczciwy ksiądz proboszcz z kroplistym potem na czole, którego na żaden sposób pozbyć się nie mógł na czas dłuższy, był zaprezentowany jako znakomity kaznodzieja; wąsacz z brelokami został właścicielem najpyszniejszéj stadniny w kraju; ów bawił się wzoro-

wem gospodarstwem, tamten był od trzech lat kandydatem na posła; a poczciwy major, który, tęskniąc do swojéj krótkiéj fajeczki, tylko widokiem żony jako tako się podtrzymywał, został bohatérem à la Sułkowski i podczas wyprawy do Egiptu miał z Napoleonem ważne mieć rozmowy.

— Wszystko szlachetne, piękne i poczciwe – dodał w końcu margrabia, wodząc ręką po fizyognomiach kilku wąsatych hreczkosiejów, których tym ostatnim epitetem ryczałtem przedstawił — wszystko znajdziesz tutaj zgromadzone, mości hrabio.

Reprezentanci nieszczęsnéj poczciwości polskiéj ukłonili się z należytą uniżonością przybyłemu gościowi, gdy margrabia nagle rzekł do hrabiego:

— Otoż, mój hrabio, jeszcze jedna interesowna znajomość dla ciebie. Pan Jerzy—literat, poeta, lekarz i najprzyjemniejszy towarzysz. Gdy dłuższy czas u nas zabawisz, znajomość pana Jerzego będzie dla ciebie wielką rozrywką. Obadwa macie nieco ducha awanturniczego. Pan Jerzy awanturuje się wiele na polu tak zwanéj idei, poezyi i tym podobnych sentymentów, tak samo jak ty, hrabio, uganiałeś po stepach arabskich i biłeś się z Mamelukami. Na jedno to wychodzi, prócz téj różnicy, że pan Jerzy odbywa swoje egzercycye przy stoliku i tam składa stosy nieprzyjaciół, a tobie potrzeba stepu i rzeczywistych głów Mameluków.

Jerzy na to nic nie odpowiedział, tylko się ukłonił nowemu znajomemu. Jego myśli były gdzieindziéj...

Hrabia wyciągnął do niego rękę, ścisnął ją silnie bez wielkiéj etykiety i rzekł:

— Bardzo się cieszę z poznania pana. Gdyby szanowny gospodarz nie był mi nic o panu powiedział, już samo imię byłoby dla mnie dostatecznem. Przy wszystkich moich awanturach, które na mój kark włożył gospodarz, bawię się czasami i książką, i lubię się rozpatrywać w indeksie dzieł nowych.

Na tak dziwaczny komplement chciał właśnie Jerzy coś odpowiedzieć, gdy nagle zaszeleściały suknie i szybko zbliżyła się do nich Janina, ciągnąc za sobą Terenię. Janina trzymała w ręku rulon nut.

— Panie doktorze—rzekła z miłym uśmiéchem—dzisiaj musisz pan zwykły swój obowiązek wypełnić. Pan doktor—dodała, zwrócona do hrabiego—umié wybornie nuty przewracać. Na mnie padł wyrok nieszczęsny, abym zagrała, co właśnie posłuży panom do tém głośniejszéj rozmowy.

Mówiąc to, podała Jerzemu rulon, i tak jakoś się stało, że jéj piękna rączka dotknęła się jego ręki i na żaden sposób od papiéru oderwać się nie mogła. Do tego jeszcze na nieszczęście rozwinął się rulon i potrzeba go było znowu z różnych stron chwytać, aby nie spadł na ziemię. Przytém znowu kilka razy ich ręce się spotkały i tak jakoś dziwnie sympatyzowały, że biédny rulon straciwszy równowagę, musiał upaść na ziemię. Hrabia Leon przyszedł im w pomoc, za co otrzymał zgrabny, sylfidowy ukłon.

Jakkolwiek biédny Jerzy o tym swoim zwykłym obowiązku, jaki na niego w obec hrabiego włożyła Janina, wcale nie wiedział, udał się jednak do fortepianu, a rozkrzyżowawszy jak mógł najlepiéj Szopena na kratce mahoniowéj, stanął za krzesłem, na którém usiadła Janina.

Zrazu było cicho, ale tylko przez kilka taktów. Przepowiednia Janiny spełniła się co do joty. Od lewego kąta, gdzie stali reprezentanci poczciwości polskiéj, dał się słyszéć głuchy szmer, który powoli rozwinął się w dość porządną i zrozumiałą konwersacyjkę. Kilka dam na kanapie poszło za tym chwalebnym przykładem, a chociaż zrazu udzielano sobie nieco uwag o muzyce, Szopenie i o grającéj, wkrótce te artystyczne uwagi przeszły na pole strojów i niektórych sekretów domów znakomitszych. Gdy Jerzy pochylił się ku grającéj, aby piérwszą kartkę odwrócić, było już w salonie tak gwarno i huczno, że panna Janina mogła z całą przyzwoitością szepnąć mu do ucha: *O dziesiątéj...*

Na drugie słowo potrzeba było czekać aż do końca drugiéj stronnicy. Ach! jakże nudny, nieznośny jest czasem ten Szopen w swojéj koloraturze! Dla kilku pereł melodyi, dla dwóch taktów miłéj narodowéj piosenki, trzeba przechodzić przez chaos najrozmaitszych wariacyj! Jakże on wiele na tém traci! Jakże nudny i nieznośny jest ten nasz genialny Szopen, mianowicie wtedy, gdy się czeka na spojrzenie, na słówko upragnione!...

Wreszcie skończyła się druga stronnica. Reprezentanci polskiéj poczciwości wyprawili właśnie jakieś polowanie, damy spiérały się o szérokość sukni „à la Eugénie.“ Jerzy przechylił się znowu, zamiast jednéj kartki obrócił dwie, a za to usłyszał teraz dwa słowa: *w zielonym pawilonie...* Ale zbytnia ciekawość została srodze ukarana. Przewrócenie dwóch kartek wprawiło Szopena w niemały ambaras. Poczęło mu się coś nie kleić, czegoś tu i owdzie mu brakowało, zaczął

powoli omdlewać, a zsunąwszy się z kratek mahoniowych, padł jak długi na ziemię...

Wszyscy zbiegli się na ratunek, nawet reprezentanci poczciwości polskiéj zatrzymali się na chwilę śród kniei, ale panna Janina już wstała, tymczasem przyjmując ze wszech stron jak najprawdziwsze wykrzyki szału i pochwał.

Utrzymywano, że Szopen nie miał lepszego egzekutora, nigdy nie był wymowniejszy i zrozumialszy, nigdy nie wyszła w takiéj pełni cała harmonia tego utworu, jak się to stało pod piękną rączką niezrównanéj artystki.

Hrabia Leon stał na uboczu i nic nie mówił.

— Czy pan żadnych komplementów nie masz dla mnie za moję grę?—zapytała go Janina.

— Mam wiele pani do zarzucenia—odpowiedział krótko hrabia.

— Do zarzucenia?

— Szopen musiał się w grobie obrócić.

— Wszak pan patrzyłeś przez cały czas w inną stronę?

— A przecież widziałem, że przy pani można się stać niezgrabnym.

— Obawiam się pana.

— Jestem wcale nieszkodliwy.

Janina odbiegła z lekką chmurką na czole, a hrabia wziął Jerzego pod ramię i poszedł z nim do reprezentantów poczciwości, którzy właśnie skończyli byli polowanie na borsuki. Po krótkiéj z nimi rozmowie oderwali się znowu obaj i stanęli na uboczu, skąd można było całe towarzystwo obserwować.

— Bardzo przyjemny i gładki człowiek,—mówiła między sobą reprezentacya poczciwości.

— Ma być niezmiernie bogaty!

— Mówią, że trochę postrzelony.

— Cały rok koczował z Arabami pod gołym niebem.

— Był u Żuawów.

— Własną ręką zabił dziesięciu Kabylów.

— Margrabia mówił, że Mameluków.

— Stara się o pannę Janinę.

— Ładna będzie para.

— Czas ostateczny, bo Warner et Compagnie zabiéra Dąbczyn.

— I o Czarnowodach coś źle słychać.

— Mirski także szuka kupca.

— Znów kupi jaki obcy.

— U mnie ozimina wygniła.

— U mnie grad wybił.

— Pójdziemy z torbami.

I tak daléj rozmawiała między sobą reprezentacya poczciwości polskiéj, a przeszedłszy na tak bolesny temat, który wszystkich blizko obchodził, głuchła zwolna rozmowa, aż wreszcie nastała cisza smutna, grobowa. Szczęściem, że w téj chwili otworzyły się drzwi pobocznego salonu, a galonowany lokaj zaprosił zgromadzenie do smacznéj już zastawionéj wieczerzy. Na widok kilkunastu ciemnego koloru butelek, które coś strasznie na reńskie wyglądały, poprawiła się jakoś ozimina reprezentacyi poczciwości polskiéj; a nawet ów straszny Warner et Comp. nie brał się tak

skwapliwie do Dąbczyna, jak to sobie przed chwilą wyobrażano.

Na wieży zamkowéj wybiła godzina dziesiąta. Dziwna to była rzecz i niesłychana, że arcydzieło starego Wojny było dzisiaj jako tako w zgodzie z młodszém pokoleniem.

Przy stołach w salonie było już trochę pusto, tylko tu i owdzie siedział jeszcze gość spóźniony i dopijał kieliszka. Większa część towarzystwa przeniosła się do małego gabineciku na cygara. Wszyscy byli już w jak najlepszym humorze, a ktoby widział te twarze ożywione, usta usmiéchające się, oczy roziskrzone, ktoby słyszał tę wesołą, dowcipną pogadankę, nie uwierzyłby, że jednemu przed godziną ozimina wygniła, drugiemu grad potłukł zboże, a trzeci z torbami już iść zamierzał.

Był to właśnie czas sposobny dla Jerzego. Chociaż hrabia Leon jakoś fatalnie go polubił i zawsze jego towarzystwa szukał, zdarzyło się jednak, że wąsacz z brelokami, uwierzywszy sam w pyszną swoję stadninę, począł wszystkie jéj bachmaty i sułtany kolejno na scenę wyprowadzać. Hrabia Leon, jako wielki miłośnik koni, począł go słuchać. W téj chwili wymknął się Jerzy wcale niepostrzeżony.

Zielony pawilon, który w gorącéj jego wyobraźni stał się już zaczarowanym kryształowym pałacem, był to letni domek architektury włoskiéj, położony u wejścia do ogrodu, a z głównem skrzydłem pałacu połączony zgrabną, szklaną galeryą. W lecie zastawiano

tam zazwyczaj podwieczorek, albo herbatę, jeśli się ta ograniczała na koło familijne.

Jerzy wszedł do ogrodu.

Niebo było pogodne. Biała tarcza księżyca posuwała się zwolna po ciemném, szafirowém sklepieniu. Gwiazdy iskrzyły się jak perły, rzucone ręką wszechmocną w siny przestwór, a kilka drobnych białych chmurek igrało koło księżyca, jak trzodka baranków. Za niemi srébrzyła się chłodna rosa, liście drzew zaszeleściały głucho śród ciszy nocnéj.

A tam zpoza białego obłoku wyjrzała duża, biała gwiazda; po jéj srébrnym promieniu spuściły się dobre duchy i patrzały ciekawie przez szyby pawilonu. I cieszą się dobre duchy, i szepczą do siebie wieść radosną, że dwa serca, dwie dusze połączą się bratnim uściskiem... Ach, nie! To duchy-psotniki, co zlazły z liści staréj gruszy, śmieją się i chichoczą... Cicho! nie płoszcie tych dobrych duchów, które przyszły z nieba, aby szczęście ludzkie oglądać na ziemi!...

Jerzy wszedł do pawilonu.

Tam głucho i pusto. Przez duże, szklane okna zagląda księżyc, a tam ponad ciemny szczyt lipowéj alei podnoszą się olbrzymie, kamienne postacie na krużganku kaplicy... Tam stérczy rozwalona baszta... a tam w dali... tam... jakaś postać... to cień z okna pałacu...

Z drugiéj strony pawilonu ciemna, lipowa aleja. Olbrzymie cienie drzew i konarów walą się na ziemi, słychać lekki szelest liści, które rosa porusza; tam mała ptaszyna zatrzepocze skrzydłami... a tam... tam w głębi... mały ognik... to robaczek świécący...

Ktoś lekko we drzwi zapukał... słychać szelest jedwabnéj sukni... tam przy ścianie... tam daléj... ach, to wierci robak!...

Jerzy wytężył wzrok, przycisnął ręką bijące serce, aby najmniejszy szelest pochwycić — oddech jego skonał na ustach rozpalonych—całe życie jego zbiło się w jednę myśl, w jedno pragnienie... Wtém u góry otwarły się małe drzwiczki, a na schodkach ukazała się Janina.

Jerzy otworzył ramiona—serce jego biło głośno.

Janina zwolniła kroku i rzekła spokojnym głosem:

— Zapewne to pana zadziwia, że na coś podobnego się odważam. Ale nagły interes zmusza mnie do tego.

— Interes?—wyjąknął młody marzyciel.

— Tak jest, mam bardzo ważny interes do pana, czyli raczéj prośbę.

Jerzy opuścił ręce, w piersi zabrakło mu tchu. Janina zeszła ze schodów i zbliżyła się do okna.

— Okazuję panu tém moje zaufanie, jakie w nim pokładam—mówiła daléj.

Jerzy skłonił się, słowa zamarły mu na ustach.

— Jutro rano—bardzo rano — udasz się pan do Mogił...

— Do młodego Warnera?...

— Jeśli go tam nie będzie, pójdziesz pan do ojca.

— Do ojca?

— I tam odszukasz także pana *Von der Mark!*

— *Von der Mark?*

— I dołożysz pan wszelkich starań, aby pojedynek między nimi nie przyszedł do skutku.

— Pani!—zawołał Jerzy, a w tém jednem słowie ozwały się wszystkie struny duszy.

— Ach, jakżeś pan dziwny!—rzekła z uśmiéchem Janina—czy to pana martwi?

— *Warner i Von der Mark!...*

— Pojedynkują się, a jam powodem tego pojedynku—dokończyła Janina z wielkim spokojem.

Jerzy cofnął się o kilka kroków i oparł o żelazną balustradę. Janina wytrzymała chwil kilka biédnego marzyciela w tym stanie. Poczém zaczęła:

— Nie myśl pan, żebym sama stała się do tego powodem. Dopiéro dzisiaj dowiedziałam się o tém. Pan *Von der Mark* miał coś niegrzecznie o mnie mówić — pomyśl pan sobie naprzykład, iż mówił, żem brzydka — wtrąciła z zachwycającym uśmiéchem — i z młodym Warnerem o to się przemówili. Ot i cała straszna rzecz, która pana zmysłów pozbawiła. Idzie mi o to, aby do pojedynku nie przyszło, bo potém stanie się głośną ta ich sprzéczka i wszyscy się dowiedzą, żem brzydka, a może nawet uwierzą temu razem z panem. A zresztą choćbyś pan, a może kilku innych, temu nie uwierzyło, to sam pan przyznasz, że dla mnie podobny pojedynek, jak i dla każdéj innéj, nie jest wcale korzystny.

Janina mówiła spokojnie i z rozsądkiem. Skończywszy, zwróciła się do schodków, a wyciągając do niego białą, prześliczną rączkę, rzekła głosem, który gdzieś wprost z serca wychodził:

— I cóż? uczynisz to pan dla mnie?

Jerzy uczuł na swojéj ręce miękką, aksamitną rączkę, a ta rączka zadrżała... Dreszcz ekstazy przebiegł po jego piersi—ścisnął tę rączkę, przyciągnął do

siebie, a drugą objął ramiona dziewicy i silnie do serca przycisnął. Janina nie opierała się wcale, tylko głowę w tył przechyliła i pełném okiem wpatrywała się w twarz Jerzego. Ale jéj serce biło mocniéj, a biło przy drugiém sercu... Któż wié, czém się serca porozumiéwają? Ach, to nie to serce, które widzimy martwe—ono inne, zupełnie inne, gdy się w niém odgrywa tajemnica życia! Tego serca nikt nie widział! Wy nie znacie serca, gdy mówi!...

Wtém jakaś biała postać przesunęła się poprzed oknami pawilonu. Janina zadrżała, wywinęła się z objęć Jerzego i znikła w ciemnéj galeryi.

Jerzy wybiegł do lipowéj alei i pospieszył za białém zjawiskiem.

W alei przechadzała się Terenia. Szła niepewnym krokiem, jak lunatyczka.

— Ach, ja go tak kocham! — mówiła do siebie biédna idyotka, wyciągając do błędnych nocnych mar omdlałe ramiona.

Jerzy spojrzał smutno na biédną siérotę.

— Jakże nieszczęśliwą jest ta idyotka! — pomyślał sobie szczęśliwy kochanek.

Wracając do zamku, potrącił o jakąś zgarbioną figurę przy oknie pawilonu.

KONIEC TOMU PIÉRWSZEGO.

Biblioteka UJK Kielce
UJK
0472169